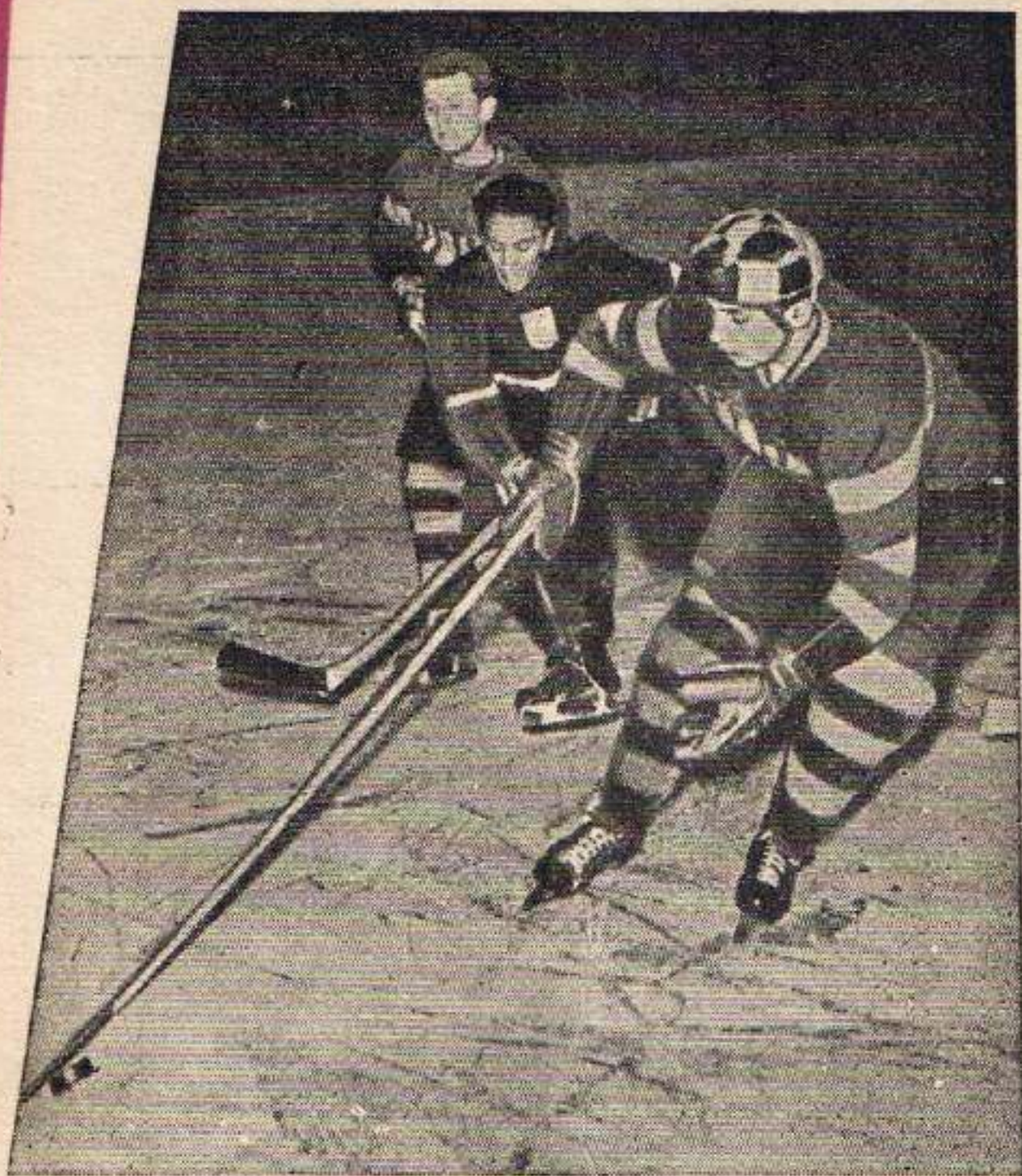


REPORTAŻE WSPOMNIENIA © POWIADANIA

RWC

ANDRZEJ WOŁKOWSKI



W POGONI ZA KRAŻKIEM

SPORT I TURYSTYKA

ANDRZEJ WOŁKOWSKI

W POGONI
ZA KRĄŻKIEM

WSPOMNIENIA

Opracował

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI



1956
WARSZAWA
SPORT i TURYSTYKA

Okladkę projektował
STANISŁAW NAGEL

Zdjęcie na okładce
Józef Krzywdziński

Zdjęcia w tekście
z albumu *A. Kowalskiego (10)* oraz
A. Wołkowskiego (2)

Redaktor *Ludwik Nortowski*
Redaktor techniczny *Roman Łysiak*
Korektor *Wiesław Dudziński*

WYDAWNICTWO „SPORT I TURYSTYKA”,
WARSZAWA 1956

Nakład 30.205 egz. Ark. wyd. 4½. Ark. druk. 2¼
(70×100/32). Papier druk. sat. kl. VII, 60 g, z Fa-
bryki Papieru w Myszkowie. Oddano do składa-
nia 18.I.1956 r. Podpisano do druku 1.III.56 r.
Druk ukończono w marcu 56 r. Zam. 357/a.
B-7-50712

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Warszawa
Cena zł 3,60

WYBRAŁEM HOKEJ...

Cóż to była za emocja, kiedy mając lat siedem przymocowywałem po raz pierwszy łyżwy do butów. Były to tzw. turfy, które przykręcało się do podeszwy przy pomocy korbki. Dostałem je na gwiazdkę od matki. Prezent nie był zresztą przypadkowy. W naszej rodzinie łyżwiarstwo miało ugruntowaną tradycję. Było to zasługą mamy, która od lat uprawiała z zapałem jazdę figurową i marzyła o tym, aby któreś z dzieci wyrosło na „artystę lodu” — jak mawiała. Łyżwiarstwo było jedynym sportem, o którym w domu można było mówić głośno. Niechbym tak kiedy wspomniał o nartach albo o piłce nożnej. Baty mrowane.

Gdy tylko nadeszła zima, matka zabierała w każdą niedzielę swoją gromadkę (a było nas pięcioro) na ślizgawkę do słynnego Sokoła lub do Parku Krakowskiego. Tam przy dźwiękach orkiestry wojskowej (pamiętam jak dziś: dyrygentem był potężnej postawy sierżant z wydatnym brzuchem i wiecznie czerwonym nosem — prawdopodobnie z zimna...) matka z pasją trenera edukowała nas na „artystów lodu”. Mnie jakoś od samego początku nie szło. Przy najprostszych ewolucjach raz po raz zamiatałem nosem po lodzie i nabijałem sobie coraz to nowe siniaki na całym ciele. Lecz matka była nieubłagana. Musiałem ćwiczyć po kilka godzin dziennie. Bez entuzjazmu spoglądałem na starszych braci i siostry, wykonujących na gładkiej jak lustro tafli lodowej zgrabne ewolucje, piruety. Ich łyżwy jak cyrkle kreśliły idealne koła, kształtne ósemki i fikuśne wężyki. Matka śledziła te popisy z promiennym uśmie-

chem i chyba przeżywała większe wzruszenia i emocje niż wówczas, kiedy zaczynaliśmy raczkować. Gdzież mi było do klasy sióstr i braci. Zresztą jazda figurowa wciąż jakoś nie wchodziła mi w nogi. Monotonna i tyle. Porywała mnie natomiast gonitwa na lodzie, która w miarę jak opanowywałem jazdę na łyżwach przechodziła w szalone harce i gry, jak berek, wąż, skoki przez ustawione obok siebie 2—3 ławki itp.

Jakże śmieszyło mnie wtedy całe to sztywne towarzystwo na lodzie — parki lub grupki odbywające monotonne raidy dokoła lodowiska, popisujące się jazdą figurową lub wirujące do znudzenia w takt wiedeńskiego walca.

A jaka pocieszna była wtedy moda. Posłuchajcie. Pano wie ślizgali się ubrani w kamizelki i wążiutkie spodnie (tzw. bajadery — coś na modłę dzisiejszych bikiniarzy), nierzadko w kamaszach. Stroju dopełniały nieodłączne meloniki. Niewiasty występowały często w długich sukniach, futrzanych kurtkach (z mufeczką — a jakże) i olbrzymich kapeluszach upiększonych dla większego szyku strusimi piórami. Było w tym wszystkim coś cyrkowego.

Dzisiaj tamte czasy wydają mi się zamierzchłą epoką. W latach dwudziestych uprawianie jazdy na łyżwach, szczególnie figurowej, było modne i należało niejako do dobrego tonu. Lodowiska stanowiły swego rodzaju „poligon towarzyski“, miejsce spotkań śmietanki. Młodzieży widziało się na ślizgawkach mało. Nie bez wpływu na taki stan rzeczy było zapewne to, że łyżwy stanowiły jeszcze niemały wydatek, a poza tym na uprawianie wszelkich sportów patrzono niechętnym okiem w szkole.

W miarę jak opanowywałem szybką jazdę, łyżwy zaczynały mi coraz bardziej smakować. Czułem się na lodzie jak w swoim żywiole. Tylko moje poczciwe turfy na korbkę przeszkadzały mi w rozwijaniu szybkości, szczególnie na wirażach. O ileż doskonalszym sprzętem były łyżwy, które umocowywało się w obcasie z przyśrubowaną blaszką z otworem. Przystosowałem więc „własnym przemysłem“

wszystkie posiadane buciki do jazdy na łyżwach. Nie o-
było się przy tym bez zniszczenia obcasów w jednej czy
dwóch parach, za co dostałem od ojca tęgie lanie. Nie ostu-
dziło to jednak mego zapału. Pokochałem łyżwy i nie
chciałem słyszeć o żadnym innym sporcie.

Minęło kilka lat. Opanowałem jazdę na łyżwach w ta-
kim stopniu, że nie tylko wyróżniałem się wśród rówieśni-
ków, ale i starszych kolegów dystansowałem na lodzie.
Któregoś dnia, będąc jak zwykle w Sokole na ślizgawce,
robiłem którąś tam z rzędu rundę dokoła lodowiska, gdy
nagle zatrzymał mnie jakiś mężczyzna o wyglądzie raso-
wego sportowca. Jak się później okazało, był to kierownik
sekcji hokejowej Towarzystwa Sportowego Sokół. Bez
żadnych wstępów oświadczył:

— Zapiszę cię do sekcji hokejowej. Dostaniesz kij, łyżwy
hokejowe i wolny wstęp na lodowisko.

Byłem oszołomiony tą propozycją. Najwięcej jednak za-
frapował mnie wolny wstęp na lodowisko. O hokeju mia-
łem bardzo mgliste pojęcie. Był to zresztą okres, kiedy
w sportach zimowych w Polsce królowało niepodzielnie
narcciarstwo. Hokej był wciąż kopciuszkiem. Momentem
zwrotnym w historii polskiego hokeja było uruchomienie
pierwszego lodowiska w Zakopanem, a potem w Krynicy.
Ale dopiero pierwsze sukcesy hokeistów wyciągnęły tę
dyscyplinę sportu na światło dzienne.

Zaskoczony nieoczekiwaną propozycją nieznajomego pa-
na, stałem nieruchomo bez słowa.

— Przyjdź dzisiaj wieczorem — powiedział kierownik,
nie czekając na moją zgodę.

Gdy zadyszany i podniecony przyleciałem wieczorem
na skąpane w świetle silnych lamp lodowisko, zastałem tam
już ćwiczących wszystkich asów Sokola. Byli to starsi ode
mnie o kilka lat, dobrze wyrosnięci młodzieńcy. Z całego
ich zachowania przebijała wielka pewność siebie. Stałem
nieśmiało na uboczu i zacząłem się przyglądać z rosnącym
zainteresowaniem ich treningowi. I stałbym tak nie wiem

jak długo, bo bardzo przypadła mi do gustu ta pełna życia i ferworu biegania za krążkiem, wymagająca nie lada zwinności i szybkości, gdyby mi w tym nie przeszkodził mój protektor, który wyrósł nagle przede mną jakby spod ziemi i zaczął zachęcać, abym włączył się do treningu.

— Pobiegnij trochę. Śmiało.

Ruszyłem niepewnie, popychając przed sobą krążek. Ręce miałem jak z drzewa. Po kilku minutach rozpaczliwego zmagania się z krążkiem, który jak na złość raz po raz wymykał mi się spod łopatkki kija hokejowego, spociłem się jak mysz. Na domiar złego, w odległości kilku metrów sunął za mną jak cień z beztroskim wyrazem twarzy mój protektor a obecnie „prześladowca“ i pilnie mnie obserwował. Najchętniej rzuciłbym teraz kij i pobiegł do domu. Nie. Tego nie zrobię. To by groziło kompromitacją. Popychałem więc przed sobą znienawidzony czarny krążek z trudem i wysiłkiem, zupełnie jakbym taszczył wózek z toną węgla. W pewnym momencie manewrując niezdarnie kijem nadziałem się nań. Nogi rozjechały się i runąłem jak długi na lód przy głośnym akompaniamencie śmiechu obserwujących od dłuższej chwili moje męki zawodników Sokoła. Trudno o bardziej nieudany debiut. Ze wstydu chciało mi się płakać. Posypały się złośliwe uwagi. To mnie ubodło. Szybko podniosłem się i zacisnąwszy zęby podjąłem walkę z krążkiem na nowo. Zacząłem odzyskiwać spokój. Nogi stały się pewniejsze, a krążek bardziej posłuszny mojemu kijowi. Nabrałem otuchy. Coraz odważniej i szybciej objeżdżałem z krążkiem lodowisko.

Po kilkunastu rundach czułem się już zupełnie pewnie. A właściwie dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, jaki jest sens całej tej gonitwy z krążkiem. Czy tylko na tym polega gra w hokeja? Uświadomienie przyszło z najmniej oczekiwanej strony. Oto nagle podjechał do mnie as nad asy Sokoła, sam Antoni Reyman, w towarzystwie kierownika sekcji i wskazując na przeciwległą stronę lodowiska

zapropnował, abym postrzelał trochę na bramkę. To było dla mnie zupełnie coś nowego. Zrobiłem zdziwioną minę. Wtedy Reyman wyjaśnił krótko, na czym polega strzał i hokej w ogóle. Słuchałem z dużym zaciekawieniem. Potem zabrałem się z zapalem do strzelania. Ba. Ale to nie było takie proste. Próbowiałem podnosić krążek z lodu w kierunku bramki. Ani rusz. Ustawiałem się w różnych pozycjach i manewrując rozpaczliwie kijem próbowałem, w myśl wskazówek Reymana, podnieść krążek łopatką kija i wrzucić go do bramki, która wydawała mi się śmiesznie mała. Ponieważ strzały mi nie wychodziły, robiłem to coraz bardziej nerwowo i ze złością. Patrzyłem z zazdrością na hokeistów Sokoła, jak zręcznie posyłali krążek do siatki. Po kilku jeszcze nieudolnych próbach dałem za wygraną. Wtedy mój opiekun z sekcji hokeja poradził mi, aby wziąć kij i krążek do domu i popробować szczęścia na podłodze, która — jak zaznaczył — nie jest tak śliska jak lód, i dlatego łatwiej można nauczyć się podrywania krążka. Nie wiedziałem czy mój protektor żartował, czy też mówił na serio. W każdym razie przyjąłem jego radę za dobrą monetę.

Było już grubo po dziesiątej, gdy udało mi się wsunąć niepostrzeżenie do mieszkania. Z pokoju dochodziło jak zwykle donośne chrapanie ojca. Nie zapalając światła schowałem kij i krążek za piecem. Zasypiałem z lękiem i pełen niepewności, czy wyjdą mi nazajutrz na podłodze strzały z podnoszeniem krążka. Może od tego zależy moja kariera hokeisty?

Następnego dnia lekcje w szkole dłużyły mi się jak nigdy. Pod ławką manewrowałem rękami na podobieństwo ruchów wykonywanych przy strzale kijem hokejowym. To była taka sucha zaprawa przed dzisiejszą generalną próbą na „lodowisku“ w sypialni. Nareszcie pierwsza godzina. Koniec lekcji. Pobiegłem co sił do domu i wyciągnąwszy z ukrycia sprzęt, zamknąłem się w pokoju sypialnym. Szczęście mi dopisywało: rodziców nie było w domu. Za-

brałem się z zapalem do ćwiczenia. Bramką były szerokie drzwi dwuskrzydłowe. Ustawiłem się pod przeciwległą ścianą, usunąwszy przedtem wszystkie przeszkody. Pochyliłem się z kijem nad krążkiem; chwila skupienia — i podrywając mocnym szarpnięciem czarny kauczuk oddałem strzał na „bramkę“. Strzał się udał. Krążek oderwał się od podłogi i z głuchym uderzeniem odbił się od pięknie lakierowanych drzwi, pozostawiając na nich czarny siniec. Byłem z siebie naprawdę dumny. Powtórzyłem ćwiczenie kilkakrotnie. Nie spudłowałem ani razu.

Tego wieczoru szedłem na lodowisko pewny siebie. Tym większe było rozczarowanie, kiedy po wyjściu na lód, mimo stosowania identycznych ruchów jak na podłodze w sypialni, krążek trzymał się uparcie tafli. Poderwanie go na śliskim lodzie stało się sztuką nie do osiągnięcia. Byłem zrozpaczony.

W pewnym momencie podjechał do mnie Reyman i ujmując moje ręce oddał kijem trzymanym przeze mnie strzał na bramkę. Krążek zafurkotał w powietrzu i ugrzązł w siatce. Reyman powtórzył ćwiczenie kilka razy. Wtedy nie tyle zrozumiałem ile wyczułem, na czym mniej więcej polega ruch unoszący krążek. Wydało mi się to prostsze niż początkowo przypuszczałem. Tego wieczoru trenowałem bardzo długo. I chociaż nazajutrz rano nie czułem rąk i palców od tej „gimnastyki“ strzałowej, nie żałowałem wysiłku. Zapaliłem się do hokeja na dobre.

Spędzałem teraz całe wieczory w Sokole, gdzie po odejściu publiczności pracowałem wraz z kolegami nad oczyszczaniem i przygotowaniem lodu do treningu. W tym czasie często rozgrywaliśmy spotkania treningowe. I wtedy ciszę nocną ulicy Wolskiej, gdzie mieścił się Sokół, zakłócały jedynie nasze pełne emocji okrzyki i charakterystyczne kłapięcia kijów hokejowych.

Chcąc dojść do jak najlepszych wyników, pilnie pracowałem nad sobą. Treningi prowadziło się indywidualnie i „na dziko“. O trenerze nie było mowy. Każdy uczył się sam,

podpatrując bardziej doświadczonego. Naszym przypadkowym nauczycielem był w tym czasie rutynowany hokeista, inżynier Szroubek, z pochodzenia Czech, który pracował w Krakowie i grał w barwach Wisły.

Po roku opanowałem nieźle prowadzenie krążka w jeździe naprzód i jeździe w tył, drybling oraz tak ważny w hokeju balans ciałem. Do niemałej wprawy doszedłem również w strzelaniu z miejsca i z wolnej jazdy z forhandu i backhandu. Pracowałem wiele nad podniesieniem szybkości, jako najbardziej istotnej cechy gry w hokeja.

Opanowanie arkanów hokeja w tak krótkim czasie przyszło mi nadspodziewanie łatwo. Wzbudziłem tym uznanie kierownictwa Sokoła, które w nagrodę za moją pilność i zapał wstawiło mnie do drugiej drużyny w meczu z Wawelem. Przypomnę, że w tym czasie istniało w Krakowie pięć klubów hokejowych: Cracovia, posiadająca najstarszą drużynę hokejową, Wisła, Legia, Wawel i Sokół; najwyższą klasę reprezentowała Cracovia, wielokrotny mistrz okręgu krakowskiego; drugą drużyną w okręgu był Sokół.

Dostałem granatowy wełniany dres z pięknym emblematem przedstawiającym Sokoła. I prawdziwe rękawice kanadyjskie. Na plecach miałem numer 7. Jak się później okazało, bardzo szczęśliwy. Strzeliłem siedem bramek. Wszystkie, jakie padły w tym spotkaniu zakończonym naszym zwycięstwem do zera. Siódemka, nawiasem mówiąc, przyłgnęła do mnie na okres całej kariery sportowej. Numer ten nosiłem w moim późniejszym klubie Cracovii, a następnie do końca w reprezentacji Polski. Na lodowiskach czechosłowackich nie dopingowano mnie inaczej, jak okrzykami: Sedmiczka! Sedmiczka!

Spotkanie z Wawelem było moim udanym debiutem. Dwoiłem się i troiłem na lodzie, biegając bez wytchnienia, niczym pies myśliwski. Jak w jakimś transie, wpatrzony tylko w krążek, gnałem na bramkę przeciwnika. Wszystkie siedem bramek strzeliłem z przeboju, a każda z nich zwiększała moją bojowość. Po meczu koledzy udając dziennikarzy

zadawali mi żartobliwie pytania: Gdzie mistrz się urodził? Skąd przybywa? Czy wprost z Kanady? Wszyscy byliśmy uszczęśliwieni zwycięstwem nad Wawelem, posiadającym w swoich szeregach wielu rutynowanych zawodników. Nagrodą za moją bojową postawę w meczu był natychmiastowy awans do pierwszej drużyny Sokoła.

Mecz z Cracovią, w dwa dni później, stał się nowym egzaminem moich umiejętności. Awans zobowiązywał, a nie byłem pewny, czy stanę na wysokości zadania. Nogi uginały się pode mną z emocji, gdy stanąłem na prawym skrzydle w ataku Sokoła wiedząc o tym, że Cracovia występuje ze znanymi już w tym czasie napastnikami Marchewczykiem i Kowalskim. Obok nich w barwach Cracovii występowały takie tuzy, jak Trytko, Ziętkiewicz i inni.

Okazało się, że nie taki diabeł straszny jak go malują. Już po pierwszych minutach staczałem zwycięskie pojedynki z asami Cracovii stwarzając swoimi akcjami szereg niebezpiecznych sytuacji pod bramką przeciwnika. Jednak wobec braku należytej rutyny i doświadczenia nie odważyłem się w tak poważnym spotkaniu na indywidualne przeboje, lecz dużo podawałem, zasilając atak; uważałem, że w ten sposób spełnię najlepiej swoje zadanie. Uznaniem za taką grę był przyjazny doping kolegów klubowych i kibiców.

Mecz wygraliśmy różnicą jednej bramki z przypadkowego dalekiego strzału Michalika, późniejszego wielokrotnego obrońcy w polskiej drużynie reprezentacyjnej. Był to duży sukces naszego zespołu. Nazajutrz po meczu przeczytałem w prasie po raz pierwszy swoje nazwisko, z czego byłem niezmiernie dumny. Nie mniej ode mnie była dumna moja mama, która pogodziła się już z tym, że nie zostanę mistrzem w jeździe figurowej, o czym tak marzyła. Był to rok 1929 i miałem wtedy lat siedemnaście.

MÓJ DEBIUT MIĘDZYNARODOWY

Pierwszy start w spotkaniu międzynarodowym jest dla sportowca zawsze wielkim wydarzeniem. Jakież emocje przeżywałem przed meczem z czechosłowacką drużyną z Opawy w roku 1930. Byłem tak rozgorączkowany i nieprzytomny w dniu poprzedzającym zawody, że mama wzięła te objawy za oznaki zbliżającej się choroby. Ledwie wybronilem się przed zaciągnięciem mnie do lekarza. Niestety, wbrew skrytym marzeniom wypadłem w meczu z Czechosłowakami dość blado. Byłem mocno stremowany. Nawet najprostsze zagrania mi nie wychodziły. (Po meczu mama jeszcze raz próbowała mnie namówić do rzucenia hokeja na rzecz jazdy figurowej — nie muszę chyba dodawać, że bezskutecznie.) Zresztą w spotkaniu z Czechosłowakami wszystkim nam się jakoś nic nie kleiło. W efekcie przegraliśmy różnicą trzech bramek.

Od naszych sąsiadów, wbrew oczekiwaniom, nie wiele mogliśmy się nauczyć. Grali mniej więcej na naszym poziomie. Tyle, że byli może lepsi w dryblingu i grze ciałem. I pod tym względem mecz rozczarował mnie. Spodziewałem się, że nasi goście zademonstrują grę na wyższym poziomie. Tyle przecież słyszałem o czechosłowackim hokeju, który szczycił się bogatą tradycją. Jeszcze przed pierwszą wojną światową Czesi triumfowali na lodowiskach europejskich. W roku 1911, a więc w czasie, który dla naszego hokeja był okresem niejako przedhistorycznym, zespół czeski zdobywa mistrzostwo Europy w Berlinie. O poziomie hokeja czechosłowackiego świadczył wymownie fakt,

że do roku 1928 nasi pobratymcy z nad Wełtawy zdobyli sześć razy tytuł mistrza Europy, a kilka razy zajęli drugie miejsce. Żadne państwo europejskie nie mogło poszczycić się podobnymi sukcesami. (Np. Szwecja, znana potęgą w hokeju, zdobyła mistrzostwo Europy „tylko” trzykrotnie.)

Polska po raz pierwszy staje do mistrzostw Europy w roku 1926 w Davos. Mówiono wtedy, że przejdziemy bez echa — prorokowano nam miejsce za najslabszą drużyną europejską, Hiszpanią. Tymczasem stawiliśmy niespodziewanie czoło tak groźnym zespołom, jak drużyny Austrii i Francji, przegrywając różnicą jednej bramki. W rezultacie zajęliśmy szóste miejsce. Najbliższe lata były okresem niewątpliwego rozwoju polskiego hokeja. W igrzyskach olimpijskich w roku 1928 w St. Moritz plasujemy się na piątym miejscu; dla wielu renomowanych drużyn jesteśmy równorzędnym przeciwnikiem. Niech zaświadczą wyniki: Czechosłowacji ulegamy 3:2, ze Szwedami uzyskujemy zaszczytny wynik 2:2. Schodzimy jako zwycięzcy z lodowiska w spotkaniu z Niemcami; wynik nader przekonujący — 6:0. Znakomicie powiodło nam się na mistrzostwach Europy w Budapeszcie w roku 1929. Byliśmy o krok od zerwania liścia wawrzynu mistrzowskiego, zdobywając wicemistrzostwo. W dramatycznym meczu z Czechosłowakami ulegliśmy 1:2. Sukcesem tym nasi hokeiści wybili sobie za jednym zamachem okno na Europę. Osiągnięcia polskiego hokeja w latach dwudziestych były zasługą drużyny, która opierała się na takich asach, jak Kuchar, Krygier, Adamowski, Tupalski, Kowalski i inni.

Mecz debiutowy z Czechosłowakami obnażył wiele moich braków. Wiedziałem, że tylko pilną pracą nad sobą mogę je usunąć. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli chcę w hokeju dojść do czegoś, muszę nieustannie pogłębiać swoje umiejętności. Toteż trenowałem z zapałem po 5—6 godzin dziennie, szlifując przede wszystkim technikę jazdy. W późnych godzinach wieczornych, gdy opustoszały lodowiska, rozpoczynałem „nocne życie” hokeisty. Po ćwiczeniach tre-

ningowych, jak szybkie raidy z krążkiem, strzelanie, drybling itp., rozgrywaliśmy spotkania sparringowe. Nierzadko dniało już, kiedy po pracowitej nocy na lodowisku wsuwałem się na palcach do sypialni, której ciszę zakłócało niezmiennie pochrapywanie ojca.

Wiosną i latem prowadziłem suchą zaprawę: gimnastykę przyrządową i akrobatyczną, ćwiczenia z kijami hokejowymi, polegające m. in. na trenowaniu strzelania na bramkę przy pomocy piłek tenisowych. Poza tym uprawiałem wioślarstwo, które doskonale służy hokeiście, gdyż wyrabia wszystkie niemal mięśnie. Nawiasem mówiąc, osiągnąłem w tej konkurencji niezłe wyniki. Dużo jeździłem na rowerze. Kolarstwo, jako jedna z form suchej zaprawy, ze względu na pracę nóg i pochylenie daje również znaczne korzyści hokeiście.

Wymyślnym rodzajem treningu w okresie zimowym było uczenie małych dzieci jazdy na łyżwach, po 2—3 godziny dziennie. Wymagało to utrzymywania się stale w pozycji pochylonej, tak charakterystycznej dla hokeja. Nieraz drętwiały plecy, że chciało się pofolgować cierpieniom, a jednak trzeba było wytrwać. Wysiłek na pewno nie pójdzie na marne.

Nadszedł rok 1931. W dniach 1—3 lutego odbywały się w Krynicy mistrzostwa świata w hokeju na lodzie przy udziale jedenastu państw. Była to największa dotychczas impreza hokejowa w Polsce. Spakowałem manatki i wyjechałem na tydzień do Krynicy. Jechałem po naukę. Zobaczę po raz pierwszy arcymistrzów krążka — Kanadyjczyków. Mistrzostwa świata miały być dla mnie „uniwersytetem“ hokeja.

Krynica żyła mistrzostwami. Rojne ulice tonęły w powodzi różnokolorowych flag. Bajecznie wyglądały rzeźby w lodzie — przedstawiające hokeistę, saneczkarza, bramkarza — oświetlone od wewnątrz. Trzaskający mróz wprawiał w świetny humor organizatorów. Lód będzie w idealnym stanie.

Mistrzostwa świata były dla mnie wspaniałą uczcą, ale i bolesnym rozczarowaniem. Jakże mizernie i blado wyglądał mój hokej w porównaniu z kunsztem zawodników austriackich, amerykańskich, no i przede wszystkim kanadyjskich. Nie wyobrażałem sobie, że można dojść do takiego mistrzostwa w operowaniu krążkiem i osiągnąć taką perfekcję w jeździe na łyżwach. O naiwności! Stanowiący w moim pojęciu najwyższą klasę czołowi hokeiści polscy wypadli bardzo blado przy zawodnikach austriackich czy kanadyjskich. Ogarnęło mnie zniechęcenie. Pierwszym refleksem była myśl rzucenia hokeja. Przecież i tak nigdy nie osiągnę poziomu zademonstrowanego na lodowisku krynickim. To już lepiej rzeczywiście, jak radziła mama, wziąć się do jazdy figurowej. Chociaż i to niełatwy sport.

Gdy pierwsze oszołomienie minęło, zacząłem myśleć rozsądniej. Przecież zawodnicy, których oglądałem, także kiedyś stawiali pierwsze kroki na lodzie. I oni początkowo prowadzili niezręcznie krążek i nie od razu potrafili strzelać do bramki. Swoją obecną klasę zawdzięczają zapewne pilności i sumiennemu treningowi, nieustannej pracy nad sobą i rutynie, jaką się zdobywa w spotkaniach międzynarodowych.

Gdy sobie to wszystko tak rozważyłem, moje chwilowe rozgoryczenie i niechęć do hokeja zaczęły ustępować. Postanowiłem śledzić pilnie wszystkie spotkania, analizować zagrania, kombinacje, nowości techniczne i taktyczne — słowem przyswoić sobie jak najwięcej z gry prawdziwych artystów krążka. Muszę wynieść z tych mistrzostw jak najwięcej.

Nie ograniczyłem się zresztą do przesiadywania na trybunach. W przerwach meczów kręciłem się po szatniach zawodników, pozdrawiałem ich łamaną niemczyzną, poufale klepałem po ramieniu i czy tego chcieli, czy nie — wyciągałem ręce, aby uścisnąć ich dłonie. Po prostu imponowało mi to. Potem oglądałem ich sprzęt, dresy itp. Po meczach zachodziłem do Lwiego Grodu, gdzie byli zakwatero-

wani zagraniczni zawodnicy i zbierałem namiętnie autografy. Zauważyłem, że goście nasi doskonale się w Krynicy bawili. Ulubioną „zabawą“ Kanadyjczyków było rozpruwanie poduszek i rozrzucanie z okien pensjonatu pierza z okrzykami „polish snow, polish snow“ (polski śnieg). Dalszą ulubioną „rozrywką“ zagranicznych zawodników, którzy najwyraźniej nie gardzili alkoholem, był hokej... na dywanach. W przystępie dobrego humoru demonstrowali oni „kawalerską“ jazdę na łyżwach w holu pensjonatu, tnąc ostrymi kantami panczen wzorzyste persy i celując krążkiem w zdobiące ściany talerze holenderskie. Te umiejętności hokeistów nie wywołały rzecz prosta mojego zachwytu.

Kanadę reprezentowała pierwszoligowa drużyna Manitoba. Droga do Krynicy wiodła poprzez zwycięstwa na wielu lodowiskach europejskich. I tak „zamorscy diabli“, jak wtedy często nazywano w Europie hokeistów kanadyjskich, zwyciężyli wiedeński W.E.V. 6:1, wygrali z Niemcami 7:1, wreszcie pokonali reprezentację Europy 4:0. Byli też absolutnymi faworytami mistrzostw świata.

W Krynicy nawiązałem bliższy kontakt z jednym z następników kanadyjskich dzięki wspólnym zainteresowaniom (poza hokejem naturalnie) filatelistyką. Wymieniliśmy wiele znaczków. Kanadyjczyk właśnie od Krynicy zaczął zbierać „Polskę“. Moje kontakty filatelistyczne były oczywista pretekstem do rozmów o hokeju, w których jako tłumacz uczestniczył pewien krakowski zbieracz znaczków. Dowiedziałem się wiele interesujących rzeczy. Że np. w samym tylko Toronto znajduje się sto ślizgawek naturalnych i pięć sztucznych krytych lodowisk. Że w tym mieście jest zarejestrowanych czterysta drużyn związkowych, a ponad trzy tysiące drużyn istnieje przy szkołach, bankach a nawet parafiach kościelnych. Podobnie jest także w innych miastach i miasteczkach kanadyjskich. Tych kilka wycinkowych cyfr dawało obraz potęgi kanadyjskiego hokeja. Najwyższy poziom z reguły reprezentowały tam drużyny zawodowe. Ich

utrzymanie wymagało nie lada nakładów — 80 do 100 tys. dolarów za sezon. Gaża sezonowa gracza waha się w granicach 4—6 tys. dolarów.

Ale Kanadyjczyk nie ograniczył się do tych informacji. Widząc mój zapał do hokeja, zrobił któregoś dnia cały wykład: żeby być dobrym zawodnikiem — mówił — trzeba przede wszystkim opanować do perfekcji jazdę na łyżwach, która jak zauważyłem jest słabą stroną wielu hokeistów europejskich. Dalszy etap pracy hokeisty nad sobą, to ćwiczenia startu, zatrzymywania się, dryblingu, taktyki, strzałów. Strzały nie powinny sprawiać hokeiście trudności — czy strzela z biegu, czy z miejsca z backhandu lub forhandu. Strzał — jak twierdził mój przypadkowy kanadyjski nauczyciel — powinien wychodzić nie z całego ramienia, lecz wypływać z pracy kiści i mięśni. Ruch powinien być krótki i błyskawiczny, tak aby bramkarz nie mógł się zorientować, w jakim momencie strzał padnie...

Rozgorączkowany, chłonałem każde słowo Kanadyjczyka — poza hokejem nie interesowało mnie w tym momencie nic na świecie.

Tydzień zmagania na krynickiej tafli obfitował w wiele interesujących, nieraz bardzo dramatycznych spotkań. Polska dobrnęła szczęśliwie do rundy finałowej, chociaż nasz pierwszy mecz turniejowy z Czechosłowacją wcale tego nie wróżył: przegraliśmy 1:4. Zdobywcą trzech bramek był znakomity napastnik czechosłowacki, słynny Maleczek, podówczas niewątpliwie najlepszy hokeista europejski. Honorową bramkę dla naszych barw uzyskał Tupalski. O trzy klasy lepiej zagraliśmy z Kanadyjczykami, uzyskując po zaciętej, chwilami równorzędnej walce zaszczytny wynik 0:3. Nasi chłopcy zagrali wprost koncertowo. Szczególnie wyróżnili się mistrzowie polskiego krążka: Krygier, Adamowski, Tupalski. Piękne zagrania tego ostatniego, przytomne wyłapywanie krążka, błyskawiczne wężowate wypady, kończone zazwyczaj ostrym płaskim strzałem, jego „ciuciubabki“ z za-

wodnikami kanadyjskimi — wywoływały zachwyty na trybunach. Entuzjazm trybun doszedł do zenitu, gdy w siatce kanadyjskiej zatrzepotał krążek po strzale Materskiego. Niestety, sędzia odgwizdał bramkę jako strzeloną po czasie.

Mecz z Francją wygraliśmy dopiero po dogrywce — 2:1. To zwycięstwo zrodziło się w bólach. Po świetnym meczu z Kanadą osiedliśmy na laurach.

Drużyna polska lubi sprawiać najmilsze niespodzianki najbardziej niepoczytalnym optymistom, ale jednocześnie potrafi zawodzić w sposób najbardziej nieoczekiwany, nierzadko wręcz kompromitujący. Tak było w ostatnim kwadransie gry z Austrią. Wykazaliśmy niedostateczną odporność psychiczną i momenty załamania. W trzeciej tercji daliśmy koncert „utrąty głowy“. W efekcie przegraliśmy z drużyną naddunajską 1:2. A przecież zwycięstwo przy lepszej grze i odrobinie szczęścia leżało w granicach naszych możliwości.

W drużynie austriackiej zauważyłem wielu młodych zawodników. Nic dziwnego, Austriacy mogli wybierać w bogatym narybku. Bo też mądrze rozwiązali sprawę kadr hokejowych. Oto trenują narybek hokejowy od 8 roku życia na specjalnych boiskach rozsianych po całym kraju. Z młodzieży w wieku lat 12—18 tworzą zespoły szkoleniowe, skąd po 18 roku życia (nie wcześniej, by nie zdemobilizować gracza) wybiera się asów. Dalsza droga utalentowanych zawodników prowadzi do czołowych drużyn.

Mecz ze Szwecją przyniósł naszym barwom pełną rehabilitację. Z silnym przeciwnikiem (Szwecja uchodziła za jednego z faworytów mistrzostw) rozprawiliśmy się w ładnym stylu, wygrywając 2:0. Strzelcem obu bramek był Krygier. Dalszego lauru przysporzył nam pojedynek z doskonałą drużyną USA, której ulegliśmy minimalnie 0:1.

W rundzie finałowej stanęliśmy ponownie na tafli przeciw Czechosłowacji. Jak wynikało z tabeli rozgrywek, od tego meczu zależał również los... Austrii. Nasze zwycięstwo względnie remis dawał drużynie austriackiej tytuł mis-

trza Europy — nam tytuł wicemistrzowski. Napięcie na trybunach ogromne. Chodzi przecież o dużą stawkę. Naszych zagrzewa publiczność rodzima i „kolonia“ austriacka. Głośnymi okrzykami dopingują swoich zawodników kibice czechosłowaccy, licznie przybyli na mecz specjalnymi pociągami.

Mecz miał chwilami przebieg bardzo dramatyczny i obfitował w faule. Raz po raz zawodnicy wędrowali na ławkę kar. W drugiej tercji sędzia francuski Polimont wykluczył Sokołowskiego za rozłożenie na lodzie Maleczka, który swoim utartym zwyczajem, leżąc przez kilka sekund nieruchomo, udawał nieboszczyka, zresztą bez powodzenia, gdyż jego „sława“ jako symulanta była równie wielka jak rozgłos, który przyniosła mu jego mistrzowska gra. Co prawda w dzisiejszym spotkaniu znakomity hokeista czechosłowacki wyraźnie „spuchł“. Po siedmiu dniach turnieju był cieniem samego siebie.

Druga tercja, podobnie jak pierwsza, zakończyła się wynikiem bezbramkowym. W trzeciej gra przybiera na ostrości. I znów — tym razem niesłusznie — sędzia posyła Sokołowskiego na ławkę kar. To orzeczenie arbitra doprowadza podnieconą niesłychanie publiczność do szału. Głośne wycia i gwizdy potęgują wrzawę na trybunach. Na środek lodowiska zostaje wyrzucony symboliczny kalosz. Nie zauważony z początku przez sędziego, leżał kilka chwil na lodzie, dopóki nie zagrał nim Maleczek. Wtedy dopiero arbiter przerwał zawody, podniósł ostentacyjnie kalosz i z miną wyrażającą niesmak wyrzucił go za bandę. Fi donc!

W ostatnich minutach gry Czechosłowacy przypuszczają gwałtowne ataki na naszą bramkę. Stogowski broni jednak z powodzeniem. Jego piękne parady kwituje aplauz widowni. Spontanicznymi brawami nagradzają polskiego bramkarza Austriacy. Na naszą bramkę sunie raz po raz „armata“ czechosłowaków, olbrzymi obrońca Dorazil, ten sam, który przed dwoma laty w Budapeszcie w ostatniej minucie wyrwał nam mistrzostwo Europy strzelając zwy-

cięską bramkę (ulegliśmy wtedy Czechosłowakom 1:2). Nie zawsze jednak jest świętego Jana. Tym razem nasi pobratymcy nie zdołali wywalczyć zwycięstwa. Mecz zakończył się wynikiem remisowym 0:0, przynosząc w efekcie upragniony tytuł mistrza Europy Austrii, Polsce zaś tytuł wicemistrzowski. Na trzecim miejscu uplasowali się Czechosłowacy, dalej Szwedzi.

Mecz finałowy o mistrzostwo świata, Kanada — USA, zakończył się spodziewanym zwycięstwem mistrzów spod znaku klonowego liścia w stosunku 2:0.

Mit Kanadyjczyków doznał jednak w Krynicy uszczerbku. Po raz pierwszy w historii mistrzostw hokejowych świata wirtuozi zza oceanu stracili jeden punkt. Stało się to zasługą Szwedów, którzy w niezwykle zaciętej, ofiarnej grze, zagrażając często bramce kanadyjskiej, wywalczyli remisowy wynik 0:0. Tak oto „spadł jeden liść z drzewa klonu“ — jak dowcipnie zauważył po meczu jeden z dziennikarzy.

Skończyły się wielkie dni hokeja. Turniej krynicki, który był dla mnie piękną lekcją hokeja, wykazał, że Europa wciąż jeszcze ustępuje hokejowi zamorskiemu. Kanadyjczycy górowali nad zawodnikami europejskimi świetnie opanowaną jazdą, szybkością, prowadzeniem krążka, przede wszystkim zaś grą ciałem, której jednak kapitan drużyny kanadyjskiej Brown — jak się wyraził — niemal w Krynicy nie zauważył, a która jego zdaniem jest warunkiem niezbędnym prawdziwie dobrej gry w hokeja. Co jeszcze charakterystycznego można było zauważyć w Krynicy — to to, że przybysze zza oceanu hołdowali wybitnie grze indywidualnej, podczas gdy drużyny europejskie stosowały świetnie opanowany system gry zespołowej.

Przed moimi oczami przewinęli się na tafli krynickiej hokeiści o najwyższej klasie. Oszłomili mnie przede wszystkim zawodnicy kanadyjscy i amerykańscy — każdy niemal z nich mógł stanowić ideał hokeisty. A jednak najwięcej przypadł mi do gustu Czechosłowak Maleczek. Błyskotliwe, precyzyjne zagrania, fenomenalny refleks, mistrzow-

ska technika i jakiś niesłychany spokój charakteryzujący tego zawodnika w najbardziej nawet dramatycznych momentach — wszystko to wprost urzekało. Maleczek, z którym stykałem się przez wiele następnych lat, pozostał dla mnie na zawsze ideałem hokeisty. Wiele później przejąłem z jego stylu treningu i sposobu gry.

Sukces polskich barw na mistrzostwach świata był dla mnie mocnym zastrzykiem optymizmu i sprawił, że przestałem oceniać nasz hokej w kategoriach kompleksu niższości. Turniej krynicki stał się dla mnie wielkim bodźcem do podjęcia wzmożonej pracy nad sobą. Głęboko utkwily mi w pamięci rady i wskazania kanadyjskiego zawodnika-filatelisty. Rok następny, 1932, był rokiem olimpijskim. Łączyłem z nim skryte marzenia o reprezentowaniu barw Polski na igrzyskach w Lake Placid.

Uruchomienie pierwszego w Polsce sztucznego lodowiska w Katowicach późną jesienią 1931 r. otwierało przed naszym hokejem nowe perspektywy. Sezon hokejowy przedłużył się o kilka miesięcy. Sztuczne lodowisko raz na zawsze usunie wieczną zmorę hokeistów: odwilż.

Otwarcie lodowiska zainaugurowało spotkanie hokejowe Śląsk — Kraków, zakończone zwycięstwem reprezentacji mego miasta rodzinnego 2:0. Bramkami podzielili się Nowak i Marchewczyk.

Niestety, tor katowicki w pierwszych miesiącach po uruchomieniu często nie nadawał się do użytku. Był to prawdziwy tor przeszkód. Na skutek niewłaściwego zamrażania tafli, spod lodu wystawały rury instalacji, wciąż psuły się maszyny chłodnicze, pękały zbiorniki z solanką itd. Obciążone długami lodowisko katowickie w krótki czas po uruchomieniu miało ulec zamknięciu. Uratowały sytuację fundusze prywatne.

Wraz z pierwszymi przymrozkami wzmożłem trening, przygotowując się z zapalem do sezonu 1931/32. Miałem wtedy lat dziewiętnaście.

PUDŁUJĘ PRZED KANADYJCZYKIEM

Pierwszym większym wydarzeniem tego sezonu był mecz z drużyną Kanadyjczyków z Ottawy, który odbył się w Krakowie. Żalodne to było spotkanie. Mistrzowie krążka zza oceanu bawili się z nami jak przysłowiowy kot z myszką. Od pierwszej minuty gry panowali niepodzielnie na lodowisku. Krążek stał się niemal ich wyłączną własnością. Bramkarz kanadyjski zabawiał się beztrosko z publicznością, nie zwracając niemal w ogóle uwagi na to, co działo się na lodzie. Mógł sobie na to pozwolić. Przez dwie tercje na bramkę gości nie padł ani jeden strzał. Niesposób było przedrzeć się przez kanadyjskie formacje obronne. Dopiero w trzeciej tercji oddaliśmy kilka anemicznych strzałów na bramkę przeciwnika. Wówczas to przeżyłem nie lada emocję. Jakimś cudem w solowym przeboju przerwałem zaporę gości i nagle znalazłem się sam na sam z bramkarzem kanadyjskim. Z wrażenia, przez moment, nie wiedziałem co robić z krążkiem — strzelać czy podjechać bliżej. Bramkarz w jaskrawym czerwonym dresie z dużym klonowym liściem stał lekko pochylony na swoim polu, uśmiechając się na widok młodego intruza. Na twarzy jego malował się niewzruszony spokój. To mnie ostatecznie wytrąciło z równowagi. Postanowiłem nie zwlekać dłużej ze strzałem: nigdy jeszcze nie wydawała mi się bramka tak mała, jak w tej chwili. Nerwowym ruchem poderwałem krążek, który jakby na skrzydłach sfrunął wysoko ponad bramkę i przelatując okalającą lodowisko siatkę, trafił... w kibica siedzącego na pobliskim drzewie. Publiczność przyjęła strzał prze-

ciągłym okrzykiem rozczarowania, który przeszedł w śmiech. Spudłowałem jak ostatni partacz. Myślałem, że się spalę ze wstydu. Przez cały tydzień chodziłem jak struty. Cóż to byłby za sukces: strzelić bramkę Kanadyjczykowi. Taka bramka liczy się za dziesięć. Z przygody z kanadyjskim bramkarzem wyniosłem naukę (zresztą nie po raz pierwszy), że w podobnych sytuacjach nerwy należy trzymać na wodzy.

Mecz przegraliśmy w stosunku 0:8, choć mogło być i tużin bramek.

Szybkimi krokami zbliżała się olimpiada zimowa w Lake Placid (USA). W prasie rozpoczęła się szeroka dyskusja na temat celowości wyjazdu drużyny hokejowej na igrzyska. Dość liczne były głosy, żeby lepiej przezimować w Krynicy lub w Katowicach i popracować nad formą niż wyruszać po niepewne sukcesy za ocean, niepewne, bo w styczniu owego roku drużynie polskiej daleko było do olimpijskiej klasy. Na przekór tej opinii wybijali optymисти liczyli się ze zdobyciem w Lake Placid pierwszego miejsca w klasyfikacji europejskiej. Ostateczna decyzja brzmiała: hokeiści pojedą na olimpiadę. Spośród trzydziestu zawodników z całej Polski wyłoniono reprezentację, w której skład weszli następujący hokeiści: Stogowski, Nowak, Ludwiczak, Maurer, Sokołowski, Kowalski, Marchewczyk i Sabiński. Marząc w skrytości ducha, że i ja zostanę wyznaczony do drużyny olimpijskiej, przeżyłem gorzkie rozczarowanie, gdy mnie pominięto w reprezentacji. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, iż moje pobożne życzenie, by reprezentować polskie barwy na igrzyskach olimpijskich, było wybrykiem młodzieńczej fantazji. Jak na tak poważną imprezę sportową, byłem zbyt surowym zawodnikiem.

W końcu stycznia 1932 r. polscy olimpijczycy przybili do brzegów amerykańskich. W drodze do Lake Placid hokeiści mieli rozegrać kilka spotkań towarzyskich z drużynami amerykańskimi. Pierwszym przeciwnikiem naszych chłopców był bostoński Hockey Club, który w 1931 roku

reprezentował USA na mistrzostwach świata w Krynicy. Przegraną 3:4 z silną drużyną amerykańską należało odnotować jako niewątpliwy sukces. Potem wygrywamy w New Haven 3:2 i z kolei ulegamy teamowi Baltimore 3:4.

Po powrocie z Ameryki zawodnicy skarżyli się na forsowne spotkania, jakie rozgrywali przed turniejem olimpijskim. Nieraz zdarzało się i tak, że po 10—12-godzinnej podróży mieli tylko 2 godziny na odpoczynek przed meczem.

Nic też dziwnego, że do Lake Placid przyjechali w kiepskiej kondycji. W meczu z Niemcami (przeegraliśmy 1:2) i Ameryką (zakończonym również naszą porażką — 1:4) siły jeszcze jako tako dopisały. Później kondycja polskich hokeistów pogarszała się z meczu na mecz. Kanadzie ulegliśmy najpierw 0:9, w drugim spotkaniu 0:10. Istny potok bramek. (Mecz ten stanowił smutny rekord w dziejach igrzysk zimowych, gromadząc na trybunach aż... 42 widzów — na 6000 miejsc — i to zaopatrzonych w bezpłatne karty wstępu.) Na taki wynik wpłynęło w dużym stopniu kompletne załamanie nerwowe Stogowskiego w trzeciej tercji po nieprzyjemnym incydencie z kanadyjskim napastnikiem Riversem. Zawodnik ten wyrwał brutalnie krążek spod nóg naszego bramkarza, co Polaka tak zdenerwowało, że odepchnął Riversa siłą. Ten stanął od razu w pozycji bokserkiej i tylko z trudem udało się zapobiec regularnej walce na pięści.

Druga porażka z Niemcami — 1:4 przypięczętowała niepowodzenia olimpijskie naszych hokeistów. Wyjeżdżali z Lake Placid z ciężkim bagażem bramek: trzydziestu czterech. Tylko trzykrotnie natomiast wyciągali bramkarze naszych przeciwników polski krążek z siatki. W efekcie zajęliśmy ostatnie, czwarte miejsce za Niemcami. (Jak wiadomo, w Lake Placid brały udział tylko cztery reprezentacje hokejowe: Kanada, USA, Niemcy i Polska.) Pierwsze miejsce zajęła drużyna Kanady.

A więc na olimpiadzie nie powiodło się nam. Właściwie gorszych wyników osiągnąć nie mogliśmy.

Po igrzyskach kierownictwo naszej drużyny zupełnie niepotrzebnie zgodziło się na rozegranie jeszcze kilku spotkań towarzyskich, chcąc widocznie osłodzić sobie gorzką pigułkę klęsk olimpijskich tanimi zwycięstwami ze słabymi zespołami. Wygrana z drużyną chicagowskich studentów Marguette Club — 4:2, była sukcesem wątpliwej wartości. Że nawet ze słabym przeciwnikiem może poślizgnąć się noga, świadczyła kompromitująca porażka „Polish olympics” (pod taką to firmą występowali nasi hokeiści) z przeciętnym zespołem Minnesota Team — 1:7.

Jakże napuszona i nieodpowiedzialna była reklama towarzysząca pierwszym spotkaniom naszej reprezentacji na ziemi amerykańskiej w drodze do Lake Placid wobec późniejszych klęsk polskiej drużyny. Oto w polskich dzielnicach prowincjonalnego miasta Providence, gdzie nasi hokeiści mieli rozegrać mecz z miejscową drużyną Rhode Island Scarlets, rozlepiono wielki plakat-odezwę (autentyczne — przywiózł taki plakat jeden z hokeistów polskich):

R o d a c y !

Duma Narodu Polskiego — Słynna Polska Drużyna Hokejowa przybędzie do Providence i wystąpi w niedzielę 31 stycznia 1932 r. o godzinie 8-ej wieczorem. Wystąpią nasi dzielni Atleci-Hokeiści i sławna drużyna hokejowa Rhode Island Scarlets.

Rodacy. — Polska drużyna reprezentuje pięć uniwersytetów: Warszawa, Poznań, Gdańsk, Lwów i Kraków.

Cała prasa amerykańska i gazety całego świata poświęcać będą niezliczone kolumny, całe stronicy dla opisanie przebiegu walki dwóch wielkich i sławnych drużyn. Rezultat walki będzie miał wpływ decydujący w zbliżających się igrzyskach olimpijskich.

Odezwę podpisał kierownik drużyny polskiej dr Polakiewicz, konsul generalny w Nowym Jorku dr Marchlewski i osiadły w USA artysta malarz Tadeusz Styka.

Konfrontacja szumnej reklamy z niepowodzeniami naszych hokeistów w Ameryce prowadziła do smutnych wniosków.

Nawiasem: mecz w Providence wygraliśmy 3:2.

Z pobytem naszej drużyny w USA łączy się jeszcze jedna pikantna historia. Podczas jednego z meczów towarzyskich, rozegranych na igrzyskach olimpijskich, uległ kontuzji polski reprezentant Sabiński. Wówczas dopuszczono się małego oszustwa. Oto „wypożyczono“ za niemałą sumę zawodnika kanadyjskiego, który pod firmą Polaka strzelał dla nas bramki. W kraju wynoszono za to pod niebiosa Sabińskiego, który w tym czasie leżał z połamanymi żebrami w amerykańskim szpitalu.

Wkrótce jednak wszystko wyszło na jaw; okazało się, że autorem pomysłu był kierownik drużyny dr Polakiewicz, ówczesny prezes PZHL, który w ten sposób chciał ratować reputację polskiego hokeja na gruncie amerykańskim. Po powrocie olimpijczyków prasa podniosła wielkie larum, potępiając „wyczyn“ kierownika wyprawy. Zwołano nadzwyczajne posiedzenie władz PZHL, na którym Polakiewicza pozbawiono funkcji prezesa PZHL.

Porażki polskiego hokeja w Lake Placid były długo komentowane w prasie. Mówiono o czarnej passie, o psychicznym załamaniu i przemęczeniu fizycznym, spowodowanym forsownym tournée poprzedzającym igrzyska. Owo przemęczenie zdawało się być najpewniejszą przyczyną naszych klęsk w Ameryce.

Sezon 1931/32 upłynął mi przede wszystkim pod znakiem regularnego intensywnego treningu, który prowadziłem do ostatnich dni marca. Poza spotkaniami międzyklubowymi zagrałem w drużynie Krakowa przeciw reprezentacji Lwowa. Mecz zakończył się wynikiem remisowym 1:1. W tym

spotkaniu zapisałem na swoje konto bramkę wyrównującą — ostatni akord sezonu.

Największą sensacją krakowskiego sezonu hokejowego 1932/33 było zwycięstwo Sokoła nad Cracovią 2:1, uzyskane w ramach finałów mistrzostw okręgowych. Od porażki nie uratował biało-czerwonych nawet udział w meczu dwóch olimpijczyków — Marchewczyka i Kowalskiego. Pierwszą bramkę dla Sokoła uzyskałem ja. Autorem drugiej był Kalman, który z mego podania ułokował krążek w siatce strzałem nie do obrony.

Zwycięstwo to utorowało nam drogę do mistrzostw Polski. Na lodowisku krynickim spotkałem się po raz pierwszy z elitą hokeistów całego kraju. Najwyższą klasę reprezentowała w owych latach drużyna AZS Warszawa (stanowiąca trzon reprezentacji Polski) z takimi asami, jak Tupalski, Adamowski, Krygier. Hegemonia AZS-u nie zdołała jednak przytłumić rozwoju innych klubów. Można było każdego roku zaobserwować stałe postępy Warszawianki czy lwowskiej Pogoni (w jej barwach grał doskonały hokeista Kuchar). W ogóle poziom polskiego hokeja w okresie ostatnich 2—3 lat nieustannie się podnosił. Walnie przyczyniała się do tego racjonalna praca treningowa w klubach, liczne kontakty zagraniczne, uruchomienie sztucznego lodowiska, jak również wyłowienie najbardziej utalentowanego narybku spośród młodych entuzjastów hokeja, jak Marchewczyk, Kowalski, Jarecki, Maciejko, Tarłowski, późniejszy mistrz Polski w tenisie; on to wprowadził grę w ...tenisa na lodzie — oczywiście na łyżwach — jako formę treningu hokejowego. Zdaniem Tarłowskiego taki trening wyrabiał refleks, uczył opanowania startów i hamowania przez dochodzenie do siatki, cofanie się itp.

Po obiecującym zwycięstwie w eliminacjach nad Cracovią nie odegraliśmy w mistrzostwach Polski większej roli. Finały mistrzostw zostały zresztą przerwane wobec konieczności podjęcia przygotowań przed zbliżającymi się mistrzostwami świata w Pradze. Mecz finałowy Pogoń — Le-

gia (faworyt AZS odpadł) został rozegrany dopiero w marcu na lodowisku katowickim. Spotkanie było prawdziwym „maratonem hokejowym“, trwało bowiem 2 godziny 50 minut. Mimo kilku dogrywek stan meczu 0:0 nie uległ zmianie. Tak więc mistrz na rok 1933 nie został wyłoniony.

Z krynickich mistrzostw Polski wyniosłem wiele korzyści. Nabrałem rutyny w bojach turniejowych, wzbogaciłem swoje doświadczenie m.in. o takie elementy, jak w rozgrywkach turniejowych rozkładać siły i gospodarować nimi, żeby nie „spuchnąć“, jak unikać niepotrzebnych kontuzji.

„TRZECH MUSZKIETERÓW“

W styczniu 1933 spotkał mnie duży zaszczyt: zostałem powołany do kadry reprezentacyjnej. Spełniło się wreszcie to, o czym marzyłem od dawna. Wysilek i zapał, jaki włożyłem w grę hokeja od pierwszych raidów z krążkiem na lodowisku Sokoła, opłacił się całkowicie. Byłem reprezentantem Polski.

Drużyna Polski wyjeżdżająca na mistrzostwa świata w Pradze była osłabiona brakiem Marchewczyka i Kowalskiego, którzy odbywali służbę wojskową. Zostałem wyznaczony na pozycję prawoskrzydłowego, na centrze grał Adamowski, lewe skrzydło obsadzone było Szejnachem.

Byłem najmłodszym zawodnikiem w drużynie. Starzy rutyniarze traktowali mnie jak smarkacza. Nie dowierzali moim siłom w tak poważnej imprezie, jaką były mistrzostwa świata. Używali mnie do różnych posług, w których — jak złośliwie twierdzili — mogę się przynajmniej czymś wykazać. A więc kazali sobie nosić walizki, kije, ostrzyć i konserwować łyżwy, no i oczywiście czyścić buty. Wykonywałem bez szemrania wszystkie ich polecenia — z „miłości do hokeja“.

Pierwsze kroki w Pradze skierowałem oczywiście na lodowisko. Zimowy Stadion — przyszła arena zmagania hokejowych — jest położony na pięknej wyspie wełtawskiej w samym sercu Pragi. Lśniaca jak lustro, idealna tafla lodu obudowana była z czterech stron pojemnymi trybunami. I co mnie uderzyło: wysokie bandy, z którymi spotkałem się po raz pierwszy.

Praga żyła mistrzostwami. Mówiono o zawodach wszędzie: w teatrze, kawiarni, na ulicy. Na wystawach wielkich magazynów Vaclavskiego Namiesti widniały tabele, na których wpisywano później wyniki spotkań.

Po mowach i zrzuceniu na Stadion wieńca laurowego z samolotu rozpoczęły się mistrzostwa hokejowe świata.

W pierwszym dniu rozegrano cztery mecze. Nas interesowało najwięcej spotkanie Niemcy — Belgia, jako że drużyna niemiecka była naszym pierwszym przeciwnikiem. W komplecie zasiedliśmy na trybunach. Mecz zakończył się łatwym zwycięstwem Niemców, którzy bawiąc się z Belgami demonstrowali efekciarskie zagrania „pod publiczność”.

Nazajutrz odbywał się nasz „premierowy“ mecz z Niemcami. Przed spotkaniem przysięgłem sobie, iż nie dam się ponieść staremu przyzwyczajeniu: solowym raidom. Zespołowa kombinacyjna gra była naszym założeniem taktycznym. Ale łatwo mówić. Gdy tylko dopadłem krążka, zapomniałem o swoich przysięgach, krew we mnie się burzyła — jak oszalały gnałem na bramkę przeciwnika, głuchy na wołania kolegów Materskiego i Sabińskiego. Przedkładając nade wszystko zagrania solowe i mając wstręt do dalekich strzałów, lubiłem dokonywać podjazdów pod samą bramkę przeciwnika. Najchętniej strzelałem z dwóch do trzech metrów, a już największą przyjemność miałem wtedy, gdy mogłem wprost „włożyć“ krążek do siatki.

I tym razem kilkakrotnie udało mi się przebić przez obronę niemiecką i oddać parę strzałów z kilku metrów na bramkę przeciwnika. Niestety, ani razu krążek nie zatrzepotał w siatce. Bramkarz niemiecki miał swój dobry dzień.

Był to jednak zbyt poważny mecz, aby na własną rękę hasać po lodowisku. Po pierwszej, bezbramkowej tercji Niemcy zaczęli nas w drugiej przygniatać — w efekcie zainkasowaliśmy bramkę strzeloną wolejem z odległości

poł metra przez kierownika ataku niemieckiego, Jaennecke, najlepszego niewątpliwie — obok Maleczka — hokeistę europejskiego. Wkrótce potem Jaennecke ustalił wynik dnia — 2:0

Moje kombinacje solowe i tendencje egoistyczne nie znajdowały aprobaty kolegów i kierownictwa drużyny, jako sprzeczne z założeniami taktycznymi gry zespołowej. Toteż nie raz w czasie spotkań i po nich spotykałem się z wyrzutami. Tak było i tym razem. Kapitan drużyny Adamowski, chcąc mnie widocznie ukarać za solowe popis w meczu z Niemcami, w kolejnym spotkaniu z Belgią kazał mi „odpoczywać“ na trybunie. Byłem niepokieszony.

Siedziałem zdenerwowany w pełnym rynsztunku hokejowym w boksie dla zawodników przez całą pierwszą i drugą tercję, śledząc z napięciem zagrania kolegów. Rwałem się do lodu, jak chyba nigdy. Nieudolne, nerwowe zagrania i jałowe kombinacje naszych chłopców po prostu irytowały mnie.

Belgowie byli wyraźnie stremowani. Ograniczali się do gry defensywnej, rzadko zapuszczając się pod naszą bramkę. Nasi atakowali bardzo nieśmiało, tymczasem należało przejść do zdecydowanej ofensywy. Pierwsze dwie tercje minęły bezbramkowo. W trzeciej Adamowski pozwolił mi wyjść na lód. Poklepawszy mnie gestem ojcowskim po ramieniu, życzył szczęścia. Wyszedłem niepewnie na boisko. Mięśnie miałem zastygnięte od długiego siedzenia w bezruchu. Śledząc spotkanie w czasie „odpoczynku“, zauważyłem pewne błędy i słabe punkty przeciwnika. W związku z tym powziąłem plan taktyczny. Najpierw starałem się trochę rozgrzać. Z pozycji defensywnej obroniłem kilka ataków, ale gdy zauważyłem, że łatwiej niż przypuszczałem mogę przechodzić zawodników belgijskich, zainicjowałem solowy przebój. Wyjechałem ostro z bramki Stogowskiego i dopingowany przez niego ruszyłem z furją na bramkę przeciwnika. Minąłem atak Belgów i pędziłem naprzód z krążkiem, pozostając i tym razem

głuchy na nawoływania kolegów, którzy darli się na całe gardło: „podaj, podaj“. Ostatnie tchnienie za zdobycie bramki! obrońcy belgijscy, niczym dwa lwy, przyczaili się na polu bramkowym. Parę rzutów ciałem w lewo, w prawo dla zmylenia przeciwnika, mijam obu obrońców i staje sam na sam z wielkim jak dąb bramkarzem belgijskim. Żeby tylko nie spudłować, jak kiedyś przed Kanadyjczykiem w Krakowie. Zachowałem na szczęście przytomność umysłu. Chwila zastanowienia: wczekać jak zareaguje bramkarz, czy strzelać? Belg nie wytrzymał nerwowo. Rzucił mi się pod nogi, długi jak słup telegraficzny. (Na trybunach grobowa cisza.) Wykorzystuję momentalnie jego błąd i spokojnie — zgodnie z ulubionym zwyczajem — wsuwam dosłownie krążek do pustej bramki. Wówczas rozległ się gwizdek sędziego (dla mnie zabrzmiał, niczym anielski trel), któremu zawtórowały gromkie okrzyki kolegów i brawa publiczności. Panował we mnie taki spokój, że wyjąłem wolnym ruchem czarny kauczuk z bramki, minąłem uśmiechającego się cierpko bramkarza i podałem krążek sędziemu na środku boiska. Prowadziliśmy 1:0. Wynik ten zresztą do końca nie uległ zmianie. Gdy wracałem do boksu po zmianie ataku, Adamowski przywitał mnie promiennym uśmiechem. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Po tym meczu stare wygi nabrały dla mnie respektu.

Zakwalifikowaliśmy się do półfinału, lecz tam powinęła się nam noga z Czechosłowacją (przegraliśmy 0:1) i USA (0:4). Potem walcząc o czwarte miejsce w swojej grupie ulegliśmy Szwajcarom 1:3. Niewielką pociechą był remis ze słabą drużyną Węgier 1:1.

Sensacją mistrzostw była nie mająca precedensu porażka Kanady w meczu z USA — 1:2. Uczniowie zwyciężyli mistrzów...

Meczowi finałowemu USA — Kanada towarzyszył pikantny epizod. Oto przed samym spotkaniem Amerykanie zażądali od dyrekcji praskiego lodowiska wypłacenia

kilku tysięcy koron grożąc, że w przeciwnym razie nie staną do walki. Pieniądze zostały im natychmiast wypłacone, co naruszało amatorski charakter imprezy. Kandydycy dowiedziawszy się o tym (już po meczu) złożyli protest przeciw takim metodom postępowania. Ostatecznie jednak załagodzono jakoś całą sprawę i ogłoszono oficjalne wyniki: pierwsze miejsce zajęła Ameryka, drugie — Kanada. Trzecie miejsce i mistrzostwo Europy przypadło Czechosłowakom. Dalej uplasowały się drużyny Austrii, Niemiec i Szwajcarii. Polska i Węgry podzieliły się siódmym i ósmym miejscem, zostawiając w polu jeszcze cztery reprezentacje europejskie.

Latem 1933 r. przeszedłem do Cracovii, choć długo opierałem się temu ze względu na więź uczuciową łączącą mnie z Sokołem, który mnie przecież wychował i dał pierwsze ostrogi hokeisty.

Kierownictwo Cracovii wyznaczyło mnie na środek ataku, w którym na prawym skrzydle grał Marchewczyk, na lewym — Kowalski. Każdy z nas przedstawiał inny rodzaj indywidualności. Kowalski odznaczał się bojowością i szybkością, a więc dwiema świetnymi cechami hokeisty. Miał przy tym niezły refleks i umiał się doskonale ustawiać. Marchewczyk, to hokeista o zaskakującym strzale. Potrafił on najniespodziewaniej w świecie, spod samej nawet bandy, gdy zdawało się, że niesposób wziąć krążek na kij — oddać celny strzał. Zdobył w ten sposób wiele bramek. Równie bojowy i zacięty (w świątku hokejowym nazywano go popularnie „osą“), grał z „głową“, był twórczy w akcji i wykazywał tendencje raczej do gry zespołowej. Jako ostatni z „trzech muszkieterów“ — jak nas później nazywano — wyróżniałem się (taka była opinia kierownictwa sekcji) spokojem w akcji, znaczną szybkością, świetnym balansem i dobrze opanowanym dryblingiem. Byłem jednak zbyt wybujałym indywidualistą, toteż w późniejszych meczach moje akcje na lodzie nie raz spotykały się z głośnym narzekaniem, jeśli nie epitetami



W tym zespole Cracovii z lat 1926—28 jeszcze mnie nie było — grali już w niej natomiast Marchewczyk (drugi z lewej) oraz Kowalski — wtedy jako bramkarz — z którymi w późniejszych latach tworzyłem zgraną „trójkę muszkieterską“.



Przedstawiam mistrzów krążka — drużynę Kanadyjczyków z Ottawy. Ten trzeci z lewej sympatyczny zawodnik — to bramkarz, którego nie udało mi się pofatygować do wyciągnięcia krążka z siatki.



Miałem wtedy lat 22. Po raz pierwszy w życiu stanąłem oko w oko z fotoreporterem. Zdjęcie będzie jutro w gazecie. Trzeba się dobrze ustawić. Koledzy Kowalski i Marchewczyk przyjęli pozę raczej niedbałą, godną wielkich asów tafli.



*Drużyna Cracovii była częstym gościem na Torkacie.
Po treningu pozujemy w piątkę Kowalskiemu.*



10 000 widzów wypełniło po brzegi największe sztuczne lodowisko Niemiec w Hamburgu. Imprezą inauguracyjną uroczystość otwarcia stadionu lodowego było spotkanie Cracovii z miejscowym Schlittschuh-Clubem. W ciemnych dresach — Polacy. Pierwszy z prawej zawodnik — to ja.

obu skrzydłowych. W miarę jednak jak zgrywaliśmy się ze sobą, potrafiłem przestawić się na grę kombinacyjną i hojnie zasilać w krążek obu partnerów.

Od pierwszego miesiąca sezonu 1933/34 cała nasza trójka trenowała na sztucznym lodowisku. Nie przypuszczałem wtedy, że w niedalekiej przyszłości przez szereg lat stanowić będziemy reprezentacyjny atak Polski i przysporzymy naszym barwom sławy na lodowiskach zagranicznych.

Mój debiut w ataku „trzech muszkieterów“ odbył się na lodowisku katowickim w meczu Kraków — Praga, zakończonym zwycięstwem naszych barw w stosunku 4:1. Dwie bramki strzeliłem ja, o dwie dalsze wzbogacił swoje konto Kowalski. Było to pierwsze zwycięstwo Krakowa nad drużyną zagraniczną. Sukces tym większy, że Czechosłowacy stanowili renomowaną drużynę. Liczyli oni zdecydowanie na zwycięstwo. Tymczasem zaskoczyliśmy ich mądrą taktycznie grą zespołową i szybkością, zapisując się dobrze w pamięci śląskiej publiczności.

Nasz atak wypadł nader pomyślnie. Byliśmy już wcale dobrze zgrani i wszystko przemawiało za tym, że nasza współpraca na lodzie rozwinie się w przyszłości jak najlepiej. Zresztą w reprezentacji Krakowa czułem się jak u siebie w klubie. W barwach miasta wystąpiło aż siedmiu zawodników Cracovii.

Nasz sukces powtórzyliśmy wygrywając z drużyną Opawy w stosunku 3:1.

Pierwszą poważniejszą imprezą hokejową sezonu 1933/34 był turniej o mistrzostwo Krynicy, rozgrywany przy udziale wiedeńskiej drużyny Waehring, AZS, Pogoni i Cracovii. Nasza drużyna odniosła wspaniały sukces zwyciężając wiedeńczyków 4:0 (Waehring przedstawiał wówczas klasę drugiej reprezentacji Austrii), AZS — 2:0 i Pogoń — 3:0. Trzeba tutaj zaznaczyć, że dawniej bramki nie padały tak obficie jak dzisiaj. Stały temu na przeszkodzie ówczesne przepisy, m.in. o spalonym, paraliżujące w znacz-

nym stopniu akcje. Można przyjąć teoretycznie, że dawny wynik 4:0 czy 5:0 równałby się dzisiejszemu 10:0 względnie 12:0.

Sezon 1933/34 był jednak przysłowiowym chudym rokiem w polskim hokeju. Nic szczególnego nie działo się na naszych lodowiskach. Z mistrzostw Polski Cracovia wycofała się. Tytuł mistrzowski przypadł tym razem drużynie AZS Poznań. Na mistrzostwa świata odbywające się w Mediolanie nie wyjechaliśmy, najprawdopodobniej z braku odpowiednich funduszy.

Mistrzostwo Europy zdobyli w Mediolanie Niemcy. W niemal identycznym mistrzowskim składzie wystąpili oni na lodowisku katowickim w końcu lutego 1934 w meczu międzypaństwowym z Polską. Spotkanie to zamykało sezon hokejowy 1933/34.

W końcowych dniach lutego nastąpiła wielka odwilż. Termometr wskazywał około plus 20 stopni. Po lodowiskach pozostały już tylko bajora wody. Mecz z Niemcami miał być rozegrany w Krynicy. Lecz i tam lód był w żalonym stanie. Po tygodniowym bezsensownym wyczekiwaniu na mróz, PZHL postanowił przenieść zawody na nieczynne już lodowisko w Katowicach.

Puszczono w ruch maszyny chłodnicze. Torkat pokrył się anemiczną warstwą lodu, tak cienką, że czuło się pod łyżwami rury instalacji chłodniczej; jeździło się jak po pralce. W niektórych miejscach wychodził nawet beton i w zetknięciu z ostrzem łyżwy ukazywały się iskry.

Mecz wywołał ogromne zainteresowanie. Bilety rozprzedano w mig. Z Niemiec przyjechał specjalny pociąg. Goście usadowili się zwartym zastępem na jednej stronie trybun, aby masą dopingować swoją drużynę. Panował iście wiosenny upał. Na szczęście Polacy zrzucili ciężkie dresy hokejowe, zamieniając je na przewiewne koszulki footballowe. Okazało się to zbawienne. Niemcy pocili się jak myszy, co ich wyraźnie osłabiało. Mimo upalnej temperatury, gra była bardzo żywa. Pierwsza tercja przyniosła wynik

bezbramkowy. W drugiej, kiedy nasza przewaga stawała się coraz wyraźniejsza, Nowak uzyskuje dla naszych barw pierwszą bramkę. Widownia przyjmuje ją salwą radości. Teraz Niemcy na trybunach dopingowali swoich jeszcze zacieklej. Niewiele to pomogło. Uzyskaliśmy drugą bramkę. Tym razem strzelcem był Sokołowski. Coraz bardziej cichły okrzyki kibiców niemieckich. Nasi przeciwnicy wychodzili teraz ze skóry, aby wyrównać. Grali z niezwykłą zaciętością. Rzucili na szalę całą swą umiejętność. Znakomity Jaennecke dwoił się i troił. Bezskutecznie. Nasza przewaga rosła z minuty na minutę.

Mieliśmy swój dzień. Krążek po prostu kleił się nam do kijów. Wszystko nam wychodziło. Druga tercja przyniosła polskim barwom jeszcze jedną bramkę ze strzału Sokołowskiego i kompletne załamanie się Niemców. Na trybunach zajętych przez niemiecką publiczność cisza, jak makiem zasiał. W trzeciej tercji Kowalski i Król, grający pod nieobecność Marchewczyka na prawym skrzydle, strzałami nie do obrony przypieczętowali miażdżące zwycięstwo naszych barw — 5:0.

Był to wielki sukces. Rozentuzjasmowana publiczność wyniosła nas na ramionach z lodowiska. Niemcy byli tak załamani porażką, że odmówili udziału w bankiecie i pośpiesznie opuścili autokarem miasto.

Szczerliwie zakończyliśmy sezon.

Latem 1934 roku prowadziliśmy w klubie suchą zaprawę. Graliśmy dużo w siatkówkę i koszykówkę. Ja oprócz tego wiosłowałem. Nie mieliśmy żadnego trenera, prowadziło się zespołowy trening na własną rękę.

Po uruchomieniu sztucznego lodowiska, co następowało zwykle na początku listopada, wyjeżdżałem z drużyną Cracovii na soboty i niedziele do Katowic, gdzie pilnie trenowaliśmy. Sezon rozpoczynało się meczami towarzyskimi z drużynami śląskimi; z reguły spotkania te kończyły się naszymi wysokimi wygranymi.

Pod koniec grudnia 1934 gościliśmy mistrza Austrii, słyn-

ny Wiener Eislaufverein (W. E. V.). W Krakowie wygraliśmy dwa mecze — 3:2 i 2:1, w których zapisałem na swoje konto po jednej bramce. Potem wyjechaliśmy wspólnie do Krynicy, aby wziąć udział w tradycyjnym turnieju noworocznym. Austriacy, wzmocnieni posiłkami dostanymi z Wiednia, pragnęli za wszelką cenę zrewanżować się za porażki krakowskie. Tymczasem zagraliśmy jeden z najlepszych meczów. Nasza „trójka muszkieterska“, podobnie jak reszta kolegów, operowała krążkiem z dużą inwencją. Akcje wiązały się w śmiałe i różnorodne kombinacje i zagrania taktyczne. Przez wszystkie tercje zatrudniliśmy sporo reprezentacyjnego bramkarza Austrii, Weissa, który trzykrotnie musiał kapitulować. Strzelcem dwóch bramek byłem ja, trzeciej — Marchewczyk.

W KRAJU WILHELMA TELLA

Pierwsze dwa tygodnie stycznia 1935 upłynęły pod znakiem przygotowań do mistrzostw świata w Davos. Tydzień przed wyjazdem kadra podzielona na team A i B rozegrała szereg spotkań sparringowych. Wszedłem w skład reprezentacji wraz z Marchewczykiem i Kowalskim do pierwszego ataku.

Do Davos przyjechaliśmy w tradycyjnym polskim terminie — 24 godziny przed zawodami. W pierwszych dniach niemal wszyscy odczuwaliśmy dotkliwie zmianę ciśnienia. Po nocach zrywałem się ze snu z uczuciem, że coś ciężkiego leży mi na piersiach. Potem przyzwyczailem się do głębszego oddychania — płuca zaczęły pracować normalnie.

Szwajcaria olśniła mnie swoim pięknem i wysoką kulturą turystyczną. Na każdym kroku widziało się kolejki napowietrzne, zębate, różnego rodzaju wyciągi ciągnące i siodełkowe (były nawet specjalne dla zakochanych turystów, noszące romantyczną nazwę „Sie und Er“). Scenerię wzbogacały schludne domki wieśniacze i olbrzymie nowoczesne hotele przylegające do stoków górskich, zwrócone na południe wielkimi tarasami do opalania.

Zamieszkaliśmy w Davos-Dorf, miejscowości o charakterze czysto sportowym, podczas gdy opodal leżący Davos-Platz i Klosters służyły celom leczniczym. Pełno tu było cudzoziemców. Uwagę naszą zwróciło mnóstwo małych lodowisk przy hotelach i kawiarniach, gdzie starsi panowie grali w ulubionego curlinga. Jest to gra pochodzenia angielskiego — rodzaj kręgli na lodzie.

Wśród ustawionych na lodzie stolików uwijali się ubrani na ciemno kelnerzy. Jeździli z taką wprawą, jakby nigdy nie odpinali łyżew.

Nadszedł dzień mistrzostw. Zawody otwierała uroczysta defilada.

Pierwszy mecz z Niemcami — mistrzami Europy z Mediolanu — rozegrany na głównym lodowisku, przyniósł nam duży sukces w postaci zwycięstwa 3:1. Autorem dwóch bramek był Kowalski, jednej — Stupnicki. Gorzej powiodło się nam nazajutrz — przegraliśmy z Francuzami 2:3. Bramki dla naszych barw padły ze strzałów Sokołowskiego i Marchewczyka. Padła również jedna bramka samobójcza, zawiniona przez Stupnickiego.

Wobec atrakcyjnego spotkania na głównym lodowisku „bożków“ krążka — Kanadyjczyków z Anglią, naszemu meczowi przyglądało się zaledwie 10 widzów. Podziało to na nas deprimująco. Czuliśmy się jak aktorzy grający przy pustej widowni.

Następny mecz rozegraliśmy z Włochami. Spotkanie miało bardzo gwałtowny przebieg, nasi przeciwnicy grali bowiem brutalnie. Dochodziło nawet do starć wręcz, tak że chwilami hokej zamieniał się niemal w boks. Sędzia musiał często przerywać mecz i wysyłać zawodników na minuty karne. W tym meczu po raz pierwszy zarysowała się dysharmonia w trójce naszego ataku. Każdy z nas chciał na własną rękę ratować honor polskiego hokeja po poprzedniej, niesławnej porażce z Francją. Stąd indywidualne, chaotyczne akcje, prowadzone na „dziko“, bez żadnej myśli taktycznej. Powodowało to głośnie swary i kłótnie na lodowisku, co rzecz prosta nie mogło wpływać dobrze na grę. Na szczęście w następnych meczach opamiętaliśmy się i współpraca potoczyła się dalej już gładko, po staremu. Spotkanie z Włochami zakończyło się wynikiem remisowym 1:1. Bramkę dla Polski uzyskał Sokołowski z dalekiego strzału: 18—20 m.

Rewanżowy mecz z Niemcami przegraliśmy wysoko — 1:5. Potem rozegraliśmy spotkanie z Belgią, zakończone zwycięstwem naszych barw w stosunku 12:2. Mój udział: 3 bramki. Pozostałym łupem bramkowym podzielili się: Marchewczyk (2) Ludwiczak (2), Godlewski (1), Zieliński (1), Kowalski (3).

W dniach wolnych od spotkań oglądaliśmy mecze innych zespołów. Najchętniej przyglądałem się spotkaniom, w których brała udział Kanada, chcąc przyswoić sobie nowinki techniczne i nowe zagrania taktyczne. W odróżnieniu od turnieju krynickiego Kanadyjczycy stosowali w Davos system gry zespołowej, która u nich stała się prawdziwym kunsztem.

Na mniej ciekawych meczach koledzy nie zawsze interesowali się akcją na lodzie. Stogowski na przykład lubiał się na trybunach opalać. Chciał wrócić do kraju jak najczarniejszy. Któregoś dnia postanowiliśmy zrobić mu kawał. Oto gdy siedział na trybunie z zamkniętymi oczami wystawiając twarz do słońca, zaproponowaliśmy naszemu bramkarzowi reprezentacyjnemu, że nasmarujemy mu mocno zaczerwienioną twarz szybko opalającym kremem. Chętnie się na to zgodził i jeszcze bardziej wyciągnął szyję, gotowy przyjąć nasze usługi. Wtedy ku uciesze publiczności posmarowaliśmy mu twarz wyborną, pachnącą migdałami pastą do obuwia. Uciecha była wielka. Nasz kawał odwrócił od spotkania uwagę publiczności, widzowie czekali na dalszy bieg „wypadków“. Stoga — jak nazywaliśmy popularnego bramkarza — sprawdzał zwykle co jakiś czas, jak bardzo się opalił. Chcąc, aby zabawa trwała jak najdłużej, odradzaliśmy koledze zagłędania do lusterka twierdząc, że szkoda słońca. Po kilku minutach Stogowskiemu wydały się widocznie podejrzanе śmiechy siedzących obok widzów, gdyż nagle otworzył oczy, spojrzął w lusterko, po czym poderwał się jak oparzony w naszym kierunku, lecz... my byliśmy już w bezpiecznej odległości. Stoga poprzysiągł nam zemstę, na którą zresztą długo nie

czekaliśmy. Gdy wieczorem kładliśmy się spać, spotkała nas nieoczekiwana kąpiel w... łóżkach. Oto Stogowski zamiast środkowego materaca podłożył nam pod prześcieradło miednice z zimną wodą i pływającym lodem.

Po raz ostatni stanęliśmy na lodowisku dawoskim — już w turnieju pocieszenia — jako przeciwnicy Węgier. Spotkanie było wyznaczone na godzinę jedenastą przed południem. Nie mogliśmy jednak rozpocząć meczu z powodu niestawienia się sędziów. Minął jeden kwadrans, drugi, a sędziów jak nie było tak nie było. Ktoś skoczył do hotelu: panowie sędziowie pochrapywali w najlepsze po balu, który trwał do trzeciej w nocy. Wobec takiego stanu rzeczy organizatorzy postanowili poszukać przygodnego arbitra na trybunach. Nikt się jednak na chciał podjąć sędziowania ze względu na brak łyżew. W końcu zgodził się bramkarz niemiecki Ball. Miał ze sobą łyżwy, lecz były to długie panczeny, które utrudniały szybkie i zwrotne poruszanie się na lodzie. Mecz, po nieciekawej grze, zakończył się wynikiem remisowym 1:1. Słowem, urodzaj na remisy. Strzeliłem jedyną bramkę dla Polski. W rezultacie zajęliśmy dziesiąte miejsce na piętnaście uczestniczących drużyn. Tytuł mistrzowski przypadł Kanadzie, która w finale nie bez wysiłku zwyciężyła Anglię 4:2. Mistrzostwo Europy zdobyła Szwajcaria.

W kilka dni po zakończeniu mistrzostw odbył się oczekiwany z wielkim zainteresowaniem mecz Kanada — Europa. Mistrzowie krążka zza oceanu rozgromili stary kontynent 15:1.

Po powrocie olimpijczyków do kraju Cracovia miała rozegrać we Lwowie mecz w puli finałowej o mistrzostwo Polski. Był koniec lutego. Odwilż w pełnej krasie. Lodowisko lwowskie zupełnie nie nadawało się do rozgrywek. Spod żałosnych resztek lodu wyglądały kępki zeschniętej trawy — co sprawiało, że spotkania przypominały bardziej hokej na trawie. A w ogóle lodowisko tonęło w bajorach. Spod łyżew bryzgały fontanny wody. Jedynie po ocienio-

nej trybunami stronie boiska znajdowała się prawdziwa oaza lodu w postaci 3—5-metrowego pasa, który nadawał się do jakiejś takiej jazdy. Tam właśnie najczęściej przenosiła się akcja. W takich chwilach miało się złudzenie, że tafla lodu przechyla się na jedną stronę, niczym pokład statku kładącego się na jedną burtę, powodując ześlizgiwanie się zawodników w tym kierunku. Zdarzało się często, że krążek wpadał w „przeręble”, w szczeliny w lodzie, i nieraz trzeba go było długo szukać. Przerywano mecz, akcja rwała się. W tych warunkach, rzecz jasna, nie mogliśmy w pełni wykazać takich walorów naszej drużyny, jak szybkość i technika. W mistrzostwach Polski przypadło nam trzecie miejsce za Czarnymi i Lechią lwowską.

W kilka dni później Cracovia, wzmocniona trzema zawodnikami AZS i Legii — ale bez Marchewczyka — wyjechała na dwa mecze do Berlina. W wypełnionej po brzegi hali Sportpalastu uzyskaliśmy z reprezentacją Niemiec nierozstrzygnięty wynik 1:1. Następnego dnia pokonaliśmy tę samą drużynę, występującą dla odmiany pod firmą Berlina — 1:0. Rozstrzygnięcie nastąpiło dopiero w ostatnich minutach. Mimo paradnych nożyc niemieckiego bramkarza o wręcz baletowej klasie, krążek ugrzązł w siatce. Strzelcem bramki uzyskanej niespodziewanie z dalekiego strzału był Kamiński. (Ten dwudziestoletni, świetnie zapowiadający się hokeista uległ w dwa lata później nieszczęśliwemu wypadkowi. Oto przy spawaniu pękła butla z tlenem, rozrywając mu głowę.) Obydwa spotkania odbywały się w ciężkich warunkach. W hali Sportpalastu, krytej szkłem nagrzanym od słońca, było potwornie duszno, a nad taflą wisiał gęsty obłok niebieskawego dymu. Można było kij powiesić. Gdy się spojrzało z oświetlonego lodowiska na pogrążoną w półcieniu widownię, trybuny po najwyższe rzędy jarzyły się tysiącem ogników papierosów i cygar.

Berlińskie spotkania zakończyły sezon hokejowy 1934/35.

W lecie 1935 r. podczas mistrzostw lekkoatletycznych

Polski w Krakowie z udziałem Walasiewiczówny, Kuso-
cińskiego, Wajsówny i in. — nastąpiło zaprzysiężenie
olimpijskie zawodników wyznaczonych do kadry zimowej
i letniej. Wraz z Marchewczykiem i Kowalskim zostałem
powołany z okręgu krakowskiego do hokejowej kadry
olimpijskiej. Wzruszony i dumny powtarzałem słowa
przysięgi olimpijskiej, które nakładały wielką odpowie-
dzialność na zawodnika i zobowiązywały do jeszcze bar-
dziej wzmożonej pracy nad sobą.

Na początku sezonu 1935/36, jak co roku, rozpoczęliśmy
treningi na lodowisku katowickim. Grudzień 1935 upłynął
pod znakiem przygotowań olimpijskich. Wkrótce nastąpił
wyjazd naszego teamu olimpijskiego do Hamburga, gdzie
przewidziane były dwa mecze z okazji otwarcia sztucznego
lodowiska. Hamburg, miasto-kolosa, zrobił na nas wielkie
wrażenie. Szczególnie port. W ogromnych basenach ko-
łysały się ociężałe potężne cielska statków wszystkich chy-
ba narodowości. Nazajutrz po przybyciu złożyliśmy wizy-
tę burmistrzowi miasta, który podejmował drużynę lampką
wina. Atmosfera przyjęcia była jednak dość sztywna
i oficjalna.

Nie przypuszczaliśmy, że następnego dnia znajdziemy się
ponownie w starym ratuszu gotyckim, tylko o piętro ni-
żej i w zgoła innych okolicznościach. A było tak. Wraca-
liśmy autobusem po obejrzeniu miasta do hotelu. W pew-
nej chwili Stefan Stupnicki, lewoskrzydłowy lwowskiej
drużyny Czarnych, zwracając uwagę na rzucającą się
w oczy blondynkę uczynił pod jej adresem żartobliwą aluzję.
Efekt był zupełnie nieoczekiwany. Okazało się, że tlenione
bóstwo rozumiało po polsku. Niemka wzburzona zwróciła
się do siedzącego obok mężczyzny, który po chwili poder-
wał się z miejsca i zaczął wymyślać po niemiecku Stupnic-
kiemu, nie szczędząc obelg i obraźliwych słów pod adre-
sem Polaków. Stupnicki nie rozumiejąc ani słowa, zwró-
cił się do mnie z uśmiechem zaciągając z lwowska, abym
zapytał pieniącego się pasażera, o co mu chodzi. W tej sa-

mejszej chwili konduktor zatrzymał wóz i przywołał policjanta. W autobusie pasażerowie podzieli się na dwa obozy: trzymających naszą stronę starych marynarzy hamburskich i resztę pasażerów, przeważnie młodzieży, którzy dzielnie wtórowali awanturującemu się Niemcowi. Policjant kazał nam opuścić wóz, po czym zostaliśmy odprowadzeni do prezydium policji, które mieściło się w starym ratuszu gotyckim. Właśnie tam wczoraj podejmowali nas ojcowie miasta. Kierownik naszej ekipy, T. Sachs (ten sam, który był przez jakiś czas bramkarzem reprezentacyjnym mimo straszliwego zezą), musiał zapłacić dość wysoki mandat z naszego kieszonkowego za rzekome zakłócenie porządku publicznego. Byliśmy wściekli, bo nie zostało prawie nic na zakupy pamiątkowe. Postanowiliśmy się „wyladawać“ w dniu jutrzejszym na tafli lodowej.

Oba spotkania z hamburskim Schlittschuh-Clubem miały bardzo ostry przebieg. Po stojącej na dobrym poziomie, zaciętej grze ponieśliśmy w obu meczach nieznaczne porażki — 1:2 i 3:4 (a prowadziliśmy już 2:0); mieliśmy wprawdzie wyraźną przewagę, lecz zawiodła dyspozycja strzałowca. W barwach drużyny hamburskiej grało kilku reprezentantów Niemiec, jak Jaennecke, George i Ball. W drodze powrotnej rozegraliśmy w Berlinie spotkanie z bawiącym tam klubem czechosłowackim LTC Praha, ulegając pobratymcom z nad Wełtawy 3:9. Powetowaliśmy sobie tę porażkę nazajutrz zwycięstwem nad czołowym zespołem berlińskiego BSC w stosunku 4:2. Strzeliłem dwie bramki z solowego przeboju.

Po powrocie do kraju nasza trójka olimpijska, grając w reprezentacji Śląska przeciw Rumunii, walcie przyczyniła się do wysokiej wygranej 7:2. Następnie gościliśmy w Katowicach drużynę Japonii, udającą się na olimpiadę do Garmisch-Partenkirchen. Mecz Polska — Japonia zakończył się zwycięstwem naszych barw w stosunku 5:1. W spotkaniu tym zapisałem na swoim koncie jedną bramkę. Pozostałymi podzielili się Marchewczyk (2) i poznaniak Zie-

liński (2). Japończycy reprezentowali słabą klasę, ale grali niezwykle ofiarnie i ambitnie. Po meczu kierownictwo ich drużyny zaproponowało mi wyjazd do Tokio w charakterze trenera. Odmówiłem oczywiście, gdyż nie chciałem przedwcześnie rezygnować z czynnej kariery zawodniczej. Duży wpływ na moją decyzję miało również przywiązanie do klubu i zbyt duża odległość dzieląca Japonię od kraju.

«KRWAWY MECZ» W GARMISCH

23 stycznia 1936 r. polska drużyna hokejowa wyjechała na zimowe igrzyska olimpijskie do Garmisch-Partenkirchen w składzie następującym: Głowacki, Kasprzak, Kasprzycki, Kowalski, Król, Lemiszko, Ludwiczak, Marchewczyk, Przeździecki, Sokołowski, Stogowski, Stupnicki, Wołkowski i Zieliński.

Już z daleka witało przybyszów pięć olbrzymich kół neonowych ze stacji kolejki górskiej Kreuzeck.

Zakwaterowano nas w przytulnym hoteliku „Zu drei Mohren“, gdzie m.in. zamieszkiwali bobsleiści amerykańscy. Wszyscy jak jeden mąż odznaczali się stukilogramową, często z okładem, wagą. Mielśmy wspaniałą zabawę obserwując Jankesów opychających się dwoma i trzema obiadami i popijających ciężkie piwo bawarskie dla utrzymania wagi.

W Garmisch, przystrojonym flagami dwudziestu ośmiu państw, było rojno jak nigdy. Ulicami przelewały się różnojęzyczne tłumy — istna wieża Babel, płynęły rzeki samochodów. Setki ściągniętych z całych Niemiec policjantów, tak surowych dla swych ziomków, bezradnie patrzyło na naruszanie przepisów ruchu ulicznego. Tłumy podążały własnymi drogami, przeskakując przez druty i liny zamykające trasy. Kierowcy samochodów jeździli w nieprzepisowym kierunku, parkowali wozy gdzie popadło. Wyobrażam sobie, jak Niemcy, przyzwyczajeni do pedantycznego przestrzegania porządku, musieli cierpieć z tego powodu. Ale nie dawali tego poznać po sobie.

Hitlerowcy chcąc olśnić świat rzucili na szalę wszystkie

środki propagandowe. Wzniesiono wspaniałe budowle i obiekty sportowe, sprowadzono dziesiątki autokarów, setki tłumaczy zgadujących w lot każde życzenie obcego przybysza. Pensjonaty i hotele, w których mieszkali cudzoziemcy, otrzymały specjalne przydziały masła, wędlin, jajek, mleka, których brak tak odczuwały Niemcy nieolimpijskie.

Wszystko było wyregulowane co do minuty, każdy człowiek miał tutaj ściśle zakreśloną pracę, był zawsze na miejscu, nie załatwiał nie swoich spraw. A jednak mimo doskonałej organizacji zdarzały się gafy. Należało do nich przerwanie w czasie konkursu skoków hymnu polskiego, odegranie Finom hymnu szwedzkiego itp.

Czas mijał szybko. Dni dzielące nas od otwarcia igrzysk upływały pod znakiem treningu. Ćwiczyliśmy jazdę z kijami, bez kijów, drybling, strzelanie itp. W przededniu igrzysk przewidziana była wolna jazda w ubraniach cywilnych na olbrzymim jeziorze, Riesersee. Tam właśnie przeżyłem przygodę, która mogła mieć tragiczny epilog. Oto chcąc sobie skrócić drogę na lodowisko przeskoczyłem barierę, odgradzającą stały ląd od Riesersee i nieoczekiwanie znalazłem się po uszy w lodowatej wodzie (był dwudziestostopniowy mróz). Chwyciłem się kurczowo wystającej belki i szczękając niesamowicie zębami z zimna, wyszedłem na brzeg. Co sił pobiegłem w kierunku szatni, mijając po drodze uśmiechniętego beztrosko starego Bawarczyka, który spokojnie stwierdził: — Pan jest już dzisiaj szesnasty! Gdyby nie to, że trzęsło mną jak w febrze, wrzuciłbym dowcipnisia do jeziora. Koledzy szybko ściągnęli ze mnie sztywniejące już od mrozu, przemoczone do suchej nitki ubranie, po czym natarli mnie śniegiem i kazali wypić pół litra gorącej herbaty z rumem. Dzięki natychmiastowej i skutecznej pomocy uniknąłem niechybnego zapalenia płuc. Tego dnia już nie trenowałem.

Zapytacie, jak to się stało, że mimo dwudziestostopniowego mrozu jezioro przy brzegu nie było zamarznęte? Z bardzo

prostej przyczyny. Otóż organizatorzy chcąc utrzymać taflę w idealnej płaszczyźnie, wyrąbywali stale wzdłuż brzegu Riesersee pas lodu szerokości półtora metra, tworząc w ten sposób jakby wielką pływającą krę. Zapewniało to niezapadanie się lodowiska na środku jeziora, gdzie było wytyczone jedno z boisk hokejowych i tor łyżwiarski.

6 lutego nastąpiło uroczyste otwarcie IV Zimowych Igrzysk Olimpijskich.

Nazajutrz rozpoczęły się pierwsze rozgrywki hokejowe. Znaleźliśmy się w I grupie wraz z Kanadą, Austrią i Łotwą. Naszym pierwszym przeciwnikiem była drużyna liścia klonowego — Kanada. Mecz odbył się na Riesersee przy minimalnej frekwencji; stawili się w komplecie hokeiści austriaccy, którzy — jako najbliższy nasz przeciwnik — chcieli się przyjrzeć grze.

Mecz z Kanadyjczykami rozgrywaliśmy w czasie gwałtowej zamieci śnieżnej. Krążek zagrzebywał się w śniegu pokrywającym taflę, co paraliżowało akcję. Co kilka minut przerywano grę i zmiatano śnieg. Nawiasem mówiąc śnieżycą była naszym sprzymierzeńcem, bo uchroniła nas niewątpliwie od większej porażki niż 8:1, którym to wynikiem zakończyło się spotkanie.

W pierwszej tercji wyjmowaliśmy aż pięciokrotnie krążek z siatki. Każda bramka naszych przeciwników, to owoc mądrej myśli taktycznej, śmiałej kombinacji i szczytowej precyzji. Słowem: koronkowa robota. Z Kanadyjczyków najbardziej zachwycił mnie obrońca Murray. Był to świetny hokeista, prawdziwy wirtuoz krążka. Błady strach padał na polską obronę, ilekroć Kanadyjczyk zapuszczał się pod naszą bramkę. Gdy sunął z krążkiem, silny i potężny, przypominał łamacz lodu. Tafla pod nim trzeszczała... Świetnie potrafił mylić grą ciałem i nieraz padaliśmy ofiarą jego nieporównanej sztuki. W drugiej tercji otrząsnęliśmy się nieco z przewagi; nasze akcje zaczęły się teraz kleić, podejmowaliśmy nawet raidy ofensywne na bramkę Kanadyjczyków. Tercja ta przynosi wynik 2:1, przy czym

jedyną bramkę dla Polski strzela w tłoku podbramkowym... Murray. Najlepiej spisaliśmy się w trzeciej tercji. Przypuszczaliśmy śmiało i częste ataki na bramkę „bożków“ hokeja. Chwilami odnosiło się wrażenie, że jesteśmy równorzędnym przeciwnikiem. Wielkie słowo.

Porwany nastrojem ofensywnym, po odebraniu krążka napastnikowi kanadyjskiemu, ruszyłem w solowym raidzie na bramkę Moora. Szukałem drogi, którą mógłbym się tam przedostać. Na polu bramkowym czatowało dwóch roślących obrońców. Jednym z nich był „mój“ Murray. Nie wiedziałem jeszcze, jaki mnie los czeka z jego ręki. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Na mój widok obaj obrońcy rozstawili się (jakby z szacunkiem), tworząc między sobą lukę, którą wybrałem jako najkrótszą drogę do bramki przeciwnika. Nie przypuszczałem, że rozstawienie się obrońców było podstępem. Gdy ich w pełnym gazie mijałem, Murray gwałtownie naskoczył na mnie ramieniem. Skutek potężnego uderzenia był taki, że fiknąłem w powietrzu efektowne salto i wylądowałem głową na tafli. Straciłem przytomność. Zniesiono mnie z lodu na noszach (a jakże, z szykiem...) i przewieziono do szpitala. (Najbardziej przeżyła całe zdarzenie moja matka, która słuchając transmisji z Garmisch, zemdliała przy radioodbiorniku.) Oprzytomniałem dopiero na stole chirurgicznym. Wtedy zauważyłem, że jestem wciąż w dresie hokejowym, orzełek na piersiach zbryzgany krwią, w nosie pełno waty tamującej krwotok. Leżałem pod rentgenem, koło mnie tańczyli lekarze i kilka sióstr. Okazało się, że ze „spotkania“ z Murrayem wyniosłem bardzo poważną kontuzję: nadwreżenie piątego kręgu, złamanie kości nosowej i ogólne obrażenia twarzy (przecięta warga, rozdarty policzek itp.). Ale to było niczym w porównaniu z kontuzją, jakiej uległ rumuński bobsleista leżący nieprzytomnie na sąsiednim stole. Został on na wirażu wyrzucony z całą załogą z toru na drzewo i trafiając twarzą o świerk rozłupał sobie brodę na dwie części. Rana wyglądała zupełnie jak po uderzeniu siekierą.

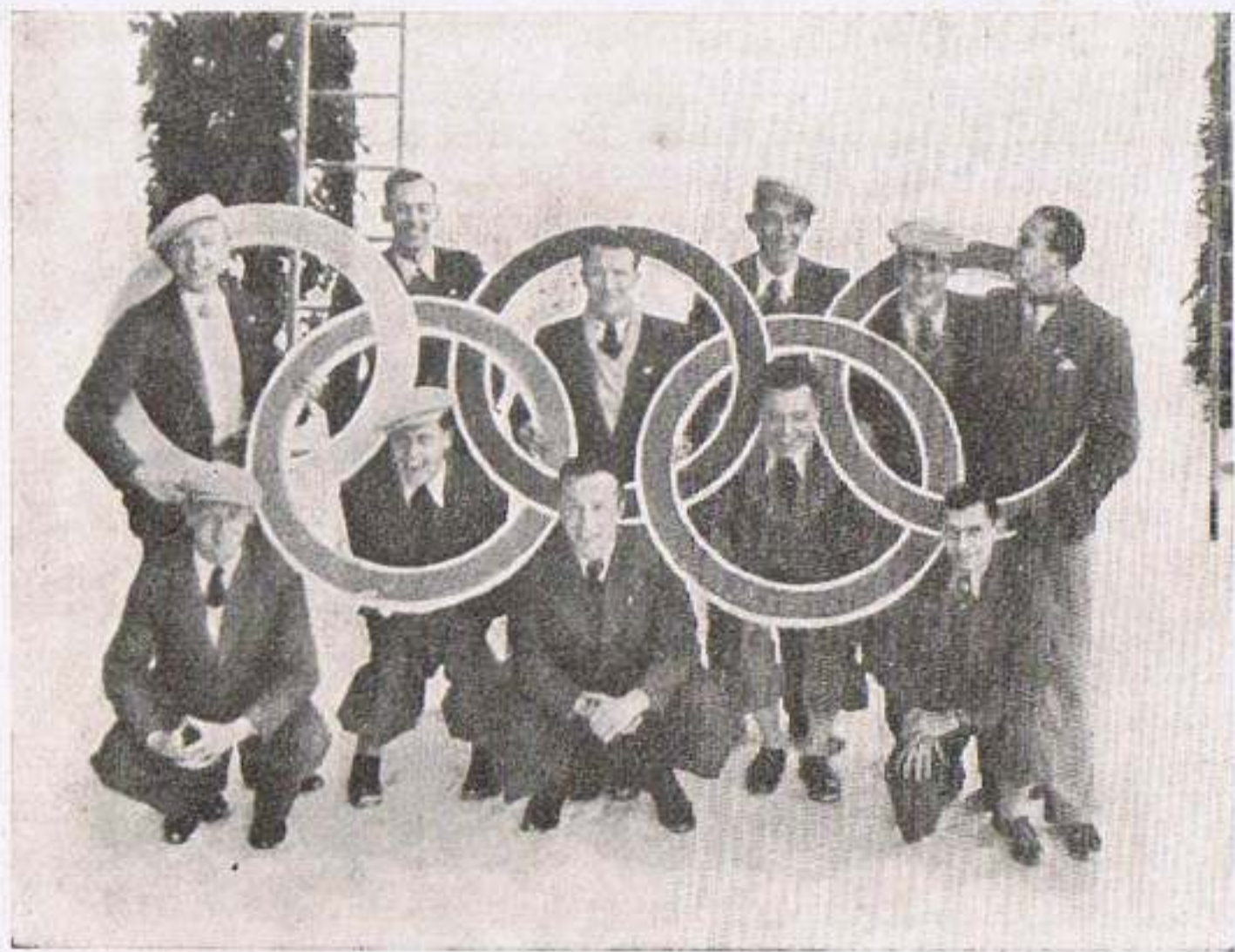


Beztrósko upływają nam na lodowisku dawoskim ostatnie chwile przed rozpoczęciem mistrzostw świata. W czasie przerwy w treningu pogodny nastrój nie opuszcza zawodników ani na chwilę. Żeby nam tylko po pierwszym spotkaniu nie zrzędyły miny.



Na tym zdjęciu fotoreporter nie zdołał mnie objąć. Stałem obok, przyglądając się rozpaczliwej robinsonadzie bramkarza lotewskiego. Zwróćcie uwagę: Kowalski, jedna z ofiar „krwawego meczu“ z Austrią, gra z tamponem na lewym oku.

Oto żywa reklama olimpiady. Jesteśmy już w Garmisch-Partenkirchen. Czy na kółkach olimpijskich daleko zajedziemy?





Proporczyk za wódkę? To bynajmniej nie sportowy „handel”. Tego „Bolsa” otrzymałem z rąk kapitana drużyny holenderskiej w r. 1938 w Hadze w zamian za tulipany, z których Holandia w równej mierze słynie.

Po zabiegach lekarskich odwieziono mnie do hotelu. W twarzy czułem piekący ból. Temperatura: 38 stopni. Ale tym niewiele się przejmowałem. Najwięcej martwiło mnie to, że mój udział w jutrzejszym spotkaniu z Austrią stał pod znakiem zapytania. Tymczasem mecz decydował o wejściu do ćwierćfinału. Niech się dzieje co chce: jutro muszę zagrać! Nazajutrz temperatura spadła na szczęście do 37 stopni. Ze sztywnym, zaplastrowanym karkiem i pokierszowaną twarzą, ale za to w bojowym nastroju stanąłem na tafli centralnego sztucznego lodowiska. Postanowiliśmy rzucić wszystko na jedną kartę. Austriacy również. I w tym im pomógł sędzia belgijski Loicq.

Pierwsze dwie tercje upływają pod znakiem naszych ataków, zresztą dość chaotycznych i nerwowych. Niestety zawodzimy strzałowo. Austriacy kwitują nasze akcje anemicznymi wypadami. Obie strony zdają sobie sprawę, że nawet jedna jedyna bramka może mieć znaczenie decydujące. Stąd nerwowa atmosfera na lodowisku. Otrząsamy się z niej w drugiej tercji, mając coraz więcej z gry. Austriacy w odpowiedzi na naszą rosnącą z minuty na minutę przewagę dali koncert brutalnej gry pod patronatem belgijskiego sędziego. Pierwszą ofiarą „wiedeńskich chłopców“ pada obrońca Ludwiczak, który dostaje kijem w twarz bez krążka. Efekt: silny krwotok nosa. Myliłby się ten, kto by sądził, że sędzia zareagował na faul... Dopiero na nasze kategoryczne żądanie przerwał grę. Po opatrzeniu rany Ludwiczak wrócił na boisko, by zagrać z jeszcze większym zapalem. Belg nie usunął brutalnego napastnika Austrii na minuty karne, jak nakazywały przepisy. Nie upłynęło wiele minut, gdy tym razem Kowalski dostaje kijem w twarz (podobnie jak Ludwiczak — w akcji bez krążka), doznając wylewu krwi w gałce ocznej. Sędzia belgijski znowu nie raczył zauważyć grubego faula. Posuwał się tak daleko, że w toku akcji naszego napadu niejednokrotnie zabawiał się rozmową z siedzącą za bandą publicznością. Po kilku minutach Kowalski witany brawami wraca na lód z zaplastro-

wanym prawym okiem. Kontuzja była dokuczliwa również dlatego, że grając na lewym skrzydle, musiał bardzo wykręcać głowę, aby z pozycji lewoskrzydłowego patrzeć lewym okiem w prawą stronę.

Druga tercja „krwawego meczu“ zakończyła się również bezbramkowo. Trzecia tercja rozpoczyna się pod znakiem żywiołowej gry. Obie strony pragną za wszelką cenę zdobyć bramkę. Austriacy demonstrują nadal brutalne zagrania. Tego było nam już za wiele. Marchewczyk w zamieszaniu podbramkowym trafił jednego z napastników „przypadkowo“ kijem w głowę. (Nie było to sportowe zachowanie, lecz byliśmy zupełnie wyprowadzeni z równowagi.) Austriak rozciągnął się jak długi. O dziwo — teraz sędzia miał oczy otwarte: skwapliwie wysłał „Marchewkę“ na dwuminutowy „urlop“ karny. Wtedy to napastnik austriacki Demmer strzelił nam pierwszą bramkę. Początkowo trochę nas to załamało, ale po chwili z jeszcze większym impetem nacieraliśmy na bramkę Weissa. Gdy w krótki czas potem padła dla Austrii druga bramka, strzelona przez Nowaka, zdawało się, że nie ma już dla nas ratunku. Dopingowani przez szwajcarskich hokeistów i sporą część publiczności (która zorientowała się, że walczymy z dwoma przeciwnikami: drużyną Austrii i arbitrem), otrząsamy się szybko z depresji. Atakujemy raz po raz. Jedna z akcji naszego napadu zostaje uwieńczona powodzeniem: uzyskujemy upragnioną bramkę ze strzału Kowalskiego. Kwituje ją przyjazny aplauz widowni. Wobec szansy wyrównania i tym samym perspektywy rozstrzygnięcia meczu na naszą korzyść w dogrywce, rzucamy na szalę wszystkie siły, inicjując furiackie ataki.

Nigdy nie zapomnę momentu, gdy zabuczała syrena oznajmiając, że do końca meczu pozostaje tylko piętnaście sekund. Jak w jakimś transie wydarłem krążek przeciwnikowi, minęłam błyskawicznie wszystkich Austriaków i znalazłem się sam na sam z bramkarzem. Teraz o losie meczu decydowały ułamki sekund. Był to chyba najbardziej

dramatyczny moment w mojej dotychczasowej karierze sportowej. Nie chcąc tracić cennego czasu na podjazd, z odległości trzech metrów posłałem krążek ostrym strzałem do bramki przeciwnika przy akompaniamencie zamierającego ryku syreny. Nie pomogła rozpaczliwa robinsonada Weissa. Siatka zatrzepotała. Siedzi! Bramka! Byłem pewny, że w dogrywce uzyskamy zwycięstwo. Jakież było moje i całej drużyny rozczarowanie, kiedy Kowalski oznajmił, iż sędzia Loicq nie uznał prawidłowej bramki. Twierdził, iż została strzelona po czasie.

Przypomnieliśmy Belgowi, że czas gry mija dopiero z umilknięciem syreny. Wtedy arbiter zaczął z innej beczki. Oznajmił, iż krążek został pchnięty do bramki łyżwą...

Publiczność przyjęła decyzję sędziego gwizdami. Nasze interwencje nie odniosły żadnego skutku. Przegraliśmy mecz nie tyle z Austrią, ile z sędzią Loicq. Zakończyło to definitywnie naszą karierę w turnieju olimpijskim. Drogę do półfinałów mieliśmy zamkniętą. Ostatnie spotkanie z Łotwą wygraliśmy w stosunku 9:2. Wynik kanadyjski. Łotysze zademonstrowali jednak bardzo prymitywny hokej. Trzy bramki były moim dziełem. Resztą podzielili się: Kowalski (3), Zieliński (2), Marchweczyk (1).

Wielką sensacją turnieju hokejowego była porażka drużyny kanadyjskiej, która uległa Anglikom. Wbrew żelaznej tradycji Kanada musiała tym razem zadowolić się drugim miejscem, za Anglią. Dalej uplasowały się drużyny: USA, CSR, Niemiec, Szwecji. Z tą ostatnią oraz z Węgrami wygraliśmy w pucharze pocieszenia.

Sensacyjna porażka Kanady na olimpiadzie posłużyła u nas... macherom reklamowym od literatury. Przez kilka tygodni po olimpiadzie na łamach gazet pojawiał się taki oto anons:

„Hokeiści kanadyjscy przegrali z Anglią, gdyż ich bramkarza nie można było oderwać od lektury nowej, fascynującej powieści Antoniego Marczyńskiego pt. „Tajemnice władców Abisynii“.

Co pomysł, to pomysł, prawda?

Z Garmisch-Partenkirchen wracaliśmy okaleczeni. Prawie każdy z nas „wiózł“ do kraju jakąś kontuzję.

Skromny sezon hokejowy w kraju zakończył mecz Śląsk — Berlin, w którym zwyciężyliśmy Niemców 5:0. Wraz z Marchewczykiem i Kowalskim zasililem drużynę Śląska, grając w pierwszym ataku.

Pierwsze większe przymrozki w sezonie 1936/37 zastały mnie pilnie trenującego na lodowisku krakowskim; raz lub dwa w tygodniu szlifowałem formę na lodowisku katowickim. Tłok był tam wielki: już w pierwszych dniach listopada, gdy jak zwykle sztuczne lodowisko otwierało swoje podwoje, Katowice stawały się Mekką dla hokeistów. Jedno lodowisko nie było w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb. W 1935 r. przebąkiwano o uruchomieniu sztucznego toru lodowego w Dolinie Szwajcarskiej w Warszawie, który byłby czynny 5—6 miesięcy w roku. Z braku funduszy budowę obiektu miał finansować za pewną i to znaczną rekompensatą przemysłowiec belgijski Van Schelle. Sportowcy woleli perspektywę „niewoli belgijskiej“ niż odraczenie budowy na dalsze pięć lat. Wkrótce projekt belgijski jednak upadł. W następnych latach różni mecenasi snuli na łamach prasy projekty zbudowania aż pięciu lodowisk. Niestety skończyło się na projektach.

W takiej sytuacji dni treningowe naszych hokeistów były uzależnione od kaprysów pogody. A że pogoda nie zawsze okazywała się przychylną, świadczą... cyfry. I tak np. w r. 1934 mieliśmy 70 dni mroźnych, w roku 1933 tylko 49. Tymczasem hokeiści czechosłowaccy, niemieccy czy szwajcarscy korzystali ze 150—180 dni treningowych. Efekt? Sukcesy na lodowiskach międzynarodowych.

GDY HOKEJ ZAMIENIA SIĘ W BOKS

Do sezonu 1936/37 przygotowałem się szczególnie starannie. Czekano nas wiele spotkań międzynarodowych, przede wszystkim mistrzostwa świata, które w lutym 1937 r. organizował Londyn. Poprzedziły je mistrzostwa krajowe, w których Cracovia zdobyła po raz pierwszy tytuł mistrza Polski w hokeju na lodzie. W eliminacjach okręgowych uzyskaliśmy iście kanadyjskie wyniki. I tak rozgromiliśmy Wawel — 16:0, z Makabi wynik był jeszcze wyższy — 18:0. Jedyne wicemistrz okręgu, Sokół, stawiał większy opór, ulegając nam „tylko“ 1:8.

W skład ekipy na mistrzostwa świata weszli następujący zawodnicy: Burda, Kasprzak, Kasprzycki, Kowalski, Ludwiczak, Marchewczyk, Przedpełski, Przeździecki, Sokołowski, Stupnicki, Stogowski i ja. Droga do Londynu wiodła przez Berlin. Po dwóch nieprzespanych nocach (jedną z nich spędziliśmy na dworcu w oczekiwaniu na paszporty) przyjechaliśmy do stolicy Niemiec. Po drodze, na granicy, spotkała nas nieprzyjemna historia. Oto polscy celnicy zabrali zawodnikom dosłownie wszystkie prywatne pieniądze powołując się na przepisy dewizowe, które zezwalały podobno na przewiezienie 200 złotych od paszportu, a nie od osoby. Drużyna zaś miała paszport zbiorowy. Mało tego, celnicy po dokonanej konfiskacie dobrowolnie zadeklarowanej gotówki (klnąc na czym świat stoi oddaliśmy wszystko co do grosza) zarządzili osobistą rewizję, która oczywiście nie dała żadnych wyników. Takie metody postępowania nie wprawiły nas rzecz prosta w najlepsze humory.

W Berlinie rozegraliśmy trzy mecze. Naszym pierwszym przeciwnikiem była drużyna German Canadians, której ulegliśmy 2:7. Bramki dla naszych barw uzyskali Kowalski i Sokołowski. „Niemieccy Kanadyjczycy“ reprezentowali wysoką klasę. Poprzedniego dnia odnieśli wysokie zwycięstwo nad pierwszą reprezentacją Niemiec — 9:3. Nazajutrz w rewanżowym meczu zmniejszyliśmy porażkę do 1:5. W ostatniej tercji, po solowym raidzie przez całe lodowisko, minąwszy obronę Kanadyjczyków uzyskałem honorową bramkę. Spotkaniem zamykającym nasz berliński występ był mecz z reprezentacją Berlina, rozegrany w wypełnionej po brzegi hali Sportpalastu. Wynik — 4:3 dla gospodarzy. Zdobywcą dwóch bramek był Ludwiczak, jednej — ja.

Po jednodniowym odpoczynku opuściliśmy Berlin, udając się w drogę do stolicy Anglii.

Londyn przywitał nas tradycyjną pogodą: mgłą i deszczem. Przy takiej aurze miasto robiło ponure wrażenie. Drużynę naszą zakwaterowano w eleganckim hotelu Imperial. Dni dzielące nas od mistrzostw spędzaliśmy na zwiedzaniu miasta i na treningu. Najpierw obejrzelśmy, rzecz jasna, dwa nowoczesne sztuczne lodowiska, Harringay i Wembley, gdzie za kilka dni miała się rozpocząć wielka batalia hokejowa; znajdowały się one w olbrzymich halach z rozsuwanymi dachami — w dni pogodne. Oba kryte lodowiska mieściły po 10—12 tys. osób. Ponadto Londyn posiadał jeszcze sześć mniejszych sztucznych lodowisk liczących po 2—3 tys. miejsc.

Z osobliwości Londynu najwięcej wrażeń dostarczyło nam zwiedzanie słynnego gabinetu figur woskowych. Pierwsze emocje czekały nas już na półpiętrze rozległego budynku. Oto na podeście stał zupełnie jak żywy angielski policjant, zwany popularnie Bobby. Kolor skóry oddano idealnie, figura była doskonale odlana; nie pominięto nawet takich szczegółów, jak meszek w uchu, włosy w nosie itp. Staliśmy przez moment jak urzeczeni. Nie mogliśmy

wyjsć z podziwu dla niezwyklej precyzji, z jaką wykonano każdy szczegół. Że też można było coś podobnego stworzyć. Wreszcie któryś z kolegów nie wytrzymał. Podszedł do figury — chociaż uprzedzono nas, że nie wolno dotykać eksponatów — i ulegając pokusie chciał wsadzić palec we wło-chate ucho. Wtedy stała się rzecz najbardziej niespodzie-wana w świecie: usta policjanta w szerokim uśmiechu bly-snęły rzędem białych zębów. Bez słowa, wygalonowany stróż porządku ruszył kołyszącym krokiem w dół piętra. Staliśmy jak rażeni piorunem. Policjant londyński najwyraźniej sobie z nas zakpił. Było to jednak czymś w rodzaju pro-dukcji artystycznej, która stanowiła nadprogramową atrak-cję. Odniosłem zresztą wrażenie, że policjant popisывał się w ten sposób częściej wobec zwiedzających, gdyż czynił to z wprawą wielkiego rutyniarza.

19 lutego nastąpiło uroczyste otwarcie mistrzostw ho-kejowych świata. Na londyńskich lodowiskach stanęło do boju jedenaście państw z Kanadą na czele. Polska znalaz-ła się w grupie z Francją, Szwecją, Kanadą i Węgrami.

W dniu otwarcia mistrzostw rozegraliśmy pierwszy mecz ze Szwecją na pięknie oświetlonym lodowisku Haringay.

Start na londyńskiej tafli był bardzo udany. Po zaciętej walce wygraliśmy z uchodzącą za faworyta spotkania Szwecją w stosunku 3:0. Nasze zwycięstwo stało się sen-sacją dnia. Wszystkie bramki padły w drugiej tercji. Szczę-śliwymi ich strzelcami byli: Kowalski, Burda i ja. Pierwsza tercja upłynęła pod znakiem bardzo ostrożnej gry obu dru-żyn. Nasze ataki załamują się na obronie Szwedów. W dru-giej tercji ruszyliśmy z wielkim impetem i wtedy posypały się zwycięskie bramki. Przed drugą tercją wypadł nieocze-kiwanie kilkudziesięciominutowy odpoczynek, gdyż zgasła jedna z wielkich żarówek i spotkanie zostało przerwane. W trzeciej tercji taktyka była z góry określona: grać ostroż-nie na utrzymanie wyniku.

Drugim naszym przeciwnikiem był faworyt mistrzostw Kanada. Wirtuozi krążka wystawili przeciw nam swój naj-

silniejszy skład. Schlebialiśmy nam to, ale i zobowiązywało do jak największego wysiłku.

Na idealnie przygotowanym lodowisku Wembley stanęliśmy do nierównej walki.

Ale nawet tak potężny przeciwnik nie napędził nam strachu. Czekaliśmy ze spokojem na gwizdek sędziego, zahartowani nerwowo w licznych spotkaniach międzynarodowych. Pierwsza tercja, przy niezbyt dużej przewadze Kanadyjczyków, zakończyła się wynikiem 3:1. Atakowaliśmy raz po raz, zapuszczając się pod bramkę przeciwnika. Wreszcie efektowną bramkę honorową zdobył Marchewczyk. Prowadziłem krążek do przedpoła kanadyjskiej bramki i chciałem właściwie już strzelić, gdy nagle usłyszałem pukanie w lód. Zauważyłem kątem oka „Marchewkę“. Myślę: on ma dogodniejszą pozycję, strzał lepiej mu wyjdzie. Błyskawicznie podałem na lewą stronę i już w następnym ułamku sekundy krążek zatrzepotał w siatce. W drugiej tercji nasi przeciwnicy podwyższyli wynik na 6:1.

Trzecia tercja przyniosła wznowienie ataków na naszą bramkę, chociaż szczęśliwie nie uwidoczniło się to cyfrowo. Kanadyjczycy przenieśli się niemal na stałe na nasze pole obronne. Grający w bramce Przeździecki jak w transie dwoił się i troił, demonstrował prawdziwie baletnicze robinsonady, podejmował desperackie raidy z bramki, rzucając się pod nogi kanadyjskich napastników. Tylko bardzo rzadko udawało się nam w tym okresie inicjować ataki. Od czasu do czasu Przeździecki podawał mi kijem krążek. Wtedy przechodziłem na własną rękę do akcji ofensywnej, która jednak załamywała się na kanadyjskich formacjach obronnych.

Po zmianie pól w trzeciej tercji, kiedy Kanadyjczycy strzelili nam jeszcze dalsze dwie bramki (a mogło ich być więcej), Przeździecki posłał mi zgrabnym ruchem krążek. Cała piątka przeciwnika znajdowała się na naszym polu. Nabrałem szybko tempa i dopingowany przez publiczność pognałem jak szalony z „pianą na ustach“ w kierunku samotnie stojącego bramkarza kanadyjskiego. Słyszałem już

za sobą ciężki urywany oddech goniących mnie obrońców przeciwnika. Byłem jednak szybszy. Obrońcy kanadyjscy nie dając za wygraną spróbowali z innej beczki. Zaczęli mnie „muskać“ kijami po nogach, chcąc zwykłym faulem powstrzymać intruza. Zacisnąłem zęby. Przyspieszyłem jeszcze tempa i podjeżdżając bliżej, zamaszystym ruchem posłałem z całej siły krążek po lodzie do bramki przeciwnika. Czarny kauczuk uderzył z impetem w łopatkę kija bramkarskiego: strzał był tak silny, że krążek wykręcił bramkarzowi kij w rękę i ku mojej wielkiej radości zatrzymał się za linią bramkową. Ja z rozpędu wpadłem na bramkę kanadyjską i zawisłem na niej na moment jak rzucona kukła. Strzeloną bramką ustaliłem wynik dnia. Przegraliśmy 2:8.

Mimo porażki wypadliśmy bardzo dobrze, ja osobiście zagrałem jeden z najlepszych meczów w dotychczasowej karierze. W szatni odwiedził mnie prezes Kanadyjskiego Związku Hokeja i zaproponował mi wyjazd do Ottawy.

— You can play in best teams — powiedział (może pan grać w najlepszych zespołach).

Nie przyjąłem tej niewątpliwie atrakcyjnej oferty z tych samych powodów, dla których przed rokiem odmówiłem Japończykom wyjazdu jako trener do Tokio.

Kanadyjczycy dali piękną lekcję gry w hokeja. Zachwycali swoją niezrównaną maestrią. Podziwiałem ich kocią zręczność, szaloną szybkość i pewność w jeździe, ich precyzyjne, dokładne na milimetr podania i bogaty repertuar tricków (wyrafinowane mylenie bramkarza było prawdziwym kunsztem).

Drużyna polska osiągnęła na mistrzostwach londyńskich szczytową formę, pokonując w pięknym stylu Francję 7:1. Zwycięstwem tym osiągnęliśmy wysoki szczebel w rozgrywkach: półfinał. Przez wszystkie trzy tercje gnietliśmy Francuzów, „wyciskając“ z nich aż siedem bramek. Bynajmniej nie speszeni tym, że przeciwnicy pierwsi strzelili bramkę, przypuszczaliśmy ataki na bramkę Francuzów.

W kilka minut później z dalekiego strzału uzyskałem wyrównanie. Teraz bramki posypały się jak z rogu obfitości. Autorami ich byli: Stupnicki (2), Sokołowski (1), Kowalski (1), Marchewczyk (1) i jeszcze raz ja.

Z impetem ruszyliśmy do dalszego boju. Pierwszy mecz puli półfinałowej wypadł nam z Węgrami, którzy poprzedniego dnia znakomicie zaprezentowali się w meczu z Niemcami, uzyskując cenny remis 2:2. Z drużyną węgierską rozprawiliśmy się dość gładko — 4:0, po porywającej grze w pięknym stylu. W pierwszej tercji po dwu nieudanych wypadach objechałem obronę Węgrów, wyciągnąłem bramkarza Csakyego i wsuwając krążek do pustej bramki uzyskałem dla naszych barw prowadzenie. Była to moja „jubileuszowa“, trzydziesta bramka w meczach międzynarodowych. Pozostałe trzy bramki uzyskali: Stupnicki (2) i Kowalski (1). Wygrana ta przyniosła nam dalszy awans w tabeli.

Pasmo zwycięstw przerwała nasza porażka z doskonałą drużyną angielską. Ulegliśmy „wyspiarzom“ w wysokim stosunku 0:11. W spotkaniu tym wystąpiliśmy jednak w rezerwowym składzie, oszczędzając siły najlepszych zawodników na mecz ze Szwajcarią, który decydował o wejściu do finału. Niestety, na drodze do finału potknęliśmy się o ten próg szwajcarski. Ulegliśmy Helwetom 0:1. Zwycięską bramkę strzelił Toriani w drugiej tercji, kiedy graliśmy w czterech, po wykluczeniu za rzekomy faul Kasprzaka. Nie wiele mogłem zdziałać w tym spotkaniu. Szwajcarzy bowiem tak mnie pilnowali, że ani razu nie udało mi się przejechać obrony przeciwnika. Doskonale zaprezentował się szwajcarski napad „ni“ (bracia Cattini i Toriani), który był wszystkim: i obroną i atakiem.

Kariere londyńską zakończyliśmy spotkaniem z Czechosłowacją o 5 i 6 miejsce. Ulegliśmy w tradycyjnym już stosunku 0:1. Decydująca bramka padła w ostatnich sekundach gry ze strzału Maleczka. Ostatecznie znaleźliśmy się więc na szóstym miejscu, chociaż niewiele brakowało,

a bylibyśmy się uplasowali w finale i osiągnęli wysoką lokatę w tabeli. Tytuł mistrzowski zdobyła Kanada przed Anglią (mistrz Europy), Szwajcarią i Niemcami.

Mecz Kanada — Anglia (zakończony zwycięstwem pierwszej w stosunku 3:0), decydujący o zdobyciu mistrzostwa świata, miał bardzo burzliwy przebieg. Szczególnie trzecia tercja. Doszło nawet do starcia na kije, gdy sędzia posłał hokeistę z klonowym liściem na ławkę kar za faul na obrońcy angielskim. Kanadyjczycy rzucili się wówczas na gospodarzy i zaczęli ich bić. Gościom zza oceanu pośpieszyli w sukurs rodacy — marynarze kanadyjscy obecni na meczu: wtargnęli „dziarsko“ na lód, podejmując interwencję. Pierwszą ofiarą barczystych chłopców miał paść sędzia. Ruszyli w jego kierunku, przewracając się raz po raz na śliskim lodzie. Podnosili się wtedy szybko i biegli dalej, chcąc za wszelką cenę dokonać aktu zemsty na arbitrze. Ten miał jednak łyżwy, więc był szybszy. Prędko znalazł się w bezpiecznej odległości. Powstał nieopisany tumult i zamieszanie. Korzystając z tego, gracze załatwiali między sobą porachunki; wtórowały im piski i krzyki widzów. Trybuny szalały. Po chwili na lodowisko wkroczyły pierwsze zastępy publiczności jako odsiecz. Zanosilo się na ogólną bijatykę. Sytuację uratował nieoczekiwanie jeden człowiek. Wiecie kto? Kapelmistrz orkiestry, który bardzo przytomnie kazał zagrać swoim chłopcom hymn angielski. Skutek był piorunujący. Po pierwszych taktach „God save the King“, okładające się bractwo, goniący sędziego marynarze kanadyjscy i śpieszący ziomkom z pomocą widzowie angielscy zastygli w wyprostowanej postawie, ucichły momentalnie gwizdy i okrzyki na trybunach.

Wykorzystał to przytomnie sędzia, który jako jedyny zakłócił ciszę gwizdkiem, następnie po zakończeniu hymnu, gdy widzowie trochę ostygli, nakazał publiczności opuszczenie lodowiska i usunął winnych na ławkę kar. Wszystko to odbyło się bardzo szybko, w jakiś skoordynowany sposób, jakby przywracaniem ładu kierowała jed-

na ręką. Wrażenie imponujące. Dalej gra potoczyła się już normalnie.

Mimo brutalnych zagrań Kanadyjczyków, mecz, w którym błysnęli świetną formą, był prawdziwą ucztą hokeja.

Droga powrotna do kraju wiodła przez Belgię. W Brukseli rozegraliśmy mecz z drużyną Etoile du Nord, ulegając 1:5. Przyczyną porażki była nie tyle wysoka klasa przeciwników, ile zmęczenie naszej drużyny, wywołane forsownym turniejem londyńskim. Drugim naszym przeciwnikiem na ziemi belgijskiej był zespół Blue Six. Tym razem zeszliśmy z tafli jako zwycięzcy. Wynik — 4:0. Bramkami podzieliłem się z Marchewczykiem i Stupnickim.

Pod koniec sezonu 1936/37 spotkało mnie duże wyróżnienie i jeszcze jeden awans w mojej karierze sportowej. Oto Międzynarodowa Federacja Hokeja na lodzie powołała mnie w skład reprezentacji Europy przeciw Kanadzie. Zostałem wyznaczony obok słynnych napastników czechosłowackich Maleczka i Hromadki do ataku na prawe skrzydło. Mecz, który miał się odbyć w paryskim Palais de Glace, nie doszedł jednak do skutku z powodu nagłego wyjazdu drużyny kanadyjskiej do kraju.

180 TYSIĘCY WIDZÓW NA STADIONIE

Sezon 1937/38 był okresem wznoszenia Cracovii, która na siedemnaście spotkań wygrała trzynaście, zremisowała w dwóch i przegrała dwa spotkania, uzyskując w sumie bardzo korzystny stosunek bramek 51:10. Terenem spotkań było głównie sztuczne lodowisko w Katowicach.

Wraz z Marchewczykiem i Kowalskim dochodziłem do szczytowej formy życiowej, która miała osiągnąć swój punkt kulminacyjny na mistrzostwach świata w r. 1939.

W drugiej połowie grudnia 1937 Cracovia zainaugurowała sezon spotkaniem z katowickim Dębem. W barwach śląskiego klubu, reprezentującego dobry poziom w hokeju, grało dwóch Kanadyjczyków ściągniętych z Anglii: Thompson i Smith. Nieco później zasilił drużynę trzeci Kanadyjczyk, Frank Ney — zarazem trener zespołu. Z Czechosłowacji ściągnął Dąb świetnego hokeistę Kasprzyckiego, a z Krynicy — utalentowanego zawodnika Burdę. To doborowe towarzystwo uzupełniali Jarocki, Ursoń i Arlt — zawodnicy dużej klasy.

Mecz z Dębem wygraliśmy 3:1; spotkanie rewanżowe zakończyło się również naszym zwycięstwem w stosunku 2:0. W kilka tygodni później Dąb uległ reprezentacji Polski 4:0 w meczu sparingowym, rozegranym na Torkacie przed jej wyjazdem na mistrzostwa świata w Pradze.

W styczniu Cracovia wzięła udział w Turnieju Miast w Katowicach. Na tafli Torkatu poza drużyną biało-czerwonych skrzyżowały kije reprezentacje Śląska, Poznania i Berlina. W turnieju zajęliśmy drugie miejsce za Śląskiem przed Poznaniem i Berlinem. Osobiście najlepiej zagrałem

w spotkaniu z Niemcami — 1:1. W drugiej tercji uzyskałem wyrównującą bramkę: objechałem całe pole, minąłem obrońców i wpakowałem krążek do siatki.

11 lutego rozpoczęły się w Pradze mistrzostwa świata w hokeju na lodzie. O palmę pierwszeństwa ubiegało się 13 krajów. Rozdział praski w historii polskiego hokeja zamyka siódme miejsce naszej reprezentacji. Dziesięć dni zmagania na tafli Zimowego Stadionu przyniosły nam tylko trzy zwycięstwa: z Litwą (8:1), Węgrami (3:0) i Rumunią (3:0). Wygrane te dały nam awans do półfinału, gdzie potknęliśmy się o Szwecję przegrywając 0:1.

Z naszych meczów eliminacyjnych na najwyższym poziomie stało spotkanie z Węgrami, w którym też błysnąłem doskonałą formą. Pierwszą bramkę zdobył w pięknym stylu Ursoń z mego podania. W drugiej tercji po solowym przeboju strzałem z odległości pół metra podwyższyłem wynik na 2:0. Ostatnie słowo należało znów do Ursonia, który ustalił wynik meczu. Węgrzy otrząsnęli się z naszej przewagi w trzeciej tercji i zaczęli nas zajadle atakować. W niebezpiecznym momencie Stogowski zademonstrował swoją słynną sztukę: wyrwał bramkę z „korzeniami“ z lodu i w ten sposób uniknął stuprocentowego gola. Sędzia szwajcarski Kraatz był na szczęście pobłażliwy. Mimo ogromnych wysiłków, Węgrom nie udało się zmienić wyniku. Po meczu miałem świetną prasę. Jeden z dzienników pisał: „...Lwia część zasługi przypadła w udziale Wołkowskiemu; gdy inicjował swoje przeboje, w loży dziennikarskiej zewsząd sypały się pytania — to chyba Kanadyjczyk? Zawodnik polski skutecznie rozrywał obronę przeciwnika prawie prostym, szybkim przebojem bez kluczenia. Wołkowski był wszędzie, wprowadzał na boisko żywioł w najlepszym wydaniu, stworzył koloryt meczu...“ Nie muszę dodawać, jak bardzo mnie ucieszyła ta pochlebna opinia.

Szwecja, z którą jak już wspomniałem przegraliśmy 0:1, zapoczątkowała pasmo porażek naszej drużyny. Ulegliśmy Szwajcarii 1:7, w identycznym wyniku przegraliśmy z An-

głą. W tym drugim spotkaniu, jeszcze widzowie nie włożyli kapeluszy po odegraniu hymnu, a już Stogowski wyciągał krążek z siatki. W szóstej minucie przedarłem się pod samą bramkę i spokojnie, jakby to było na treningu, wsunąłem krążek do siatki. Trybuny ryczały z zachwytu. Niedługo mogliśmy się nacieszyć remisem. W następnych minutach bramki posypały się jak z rogu obfitości.

W półfinałach zanosilo się na sensację: na 35 sekund przed zakończeniem decydującego o wejściu do finału meczu Niemcy prowadzili z Kanadą 2:1. Bramkarz niemiecki puścił w ostatniej chwili bramkę wyrównującą. W dogrywce Kanadyjczycy strzelili zwycięskiego gola.

Finałowy mecz o mistrzostwo świata, Kanada — Anglia, zakończył się zwycięstwem „szczeniaków” — tak nazwali Anglicy 18-letnich juniorów kanadyjskich reprezentujących swój kraj — w stosunku 3:1. Tytuł mistrzowski znowu powędrował za ocean. Mistrzem Europy została Anglia. Dalej uplasowała się Szwajcaria i Czechosłowacja. Polska zajęła ósme miejsce. Turniej praski wykazał, iż Europa zbliżyła się znacznie do mistrzów spod znaku klonowego liścia, tylko że Kanada wciąż nam... uciekała. Gdy jednego roku europejczycy przyswoili sobie zamorski styl gry, kanadyjscy hokeiści wymyślili już nowy, skuteczniejszy.

W Pradze nowością Kanadyjczyków były między innymi prostopadłe podania na bramkę przeciwnika. Gra w poprzek boiska stała się więc niemodna.

Najpopularniejszym zawodnikiem mistrzostw był fenomenalny bramkarz amerykański Cosby. Ogromnie pocieszny zawodnik. I... gadatliwy. W czasie meczu usta mu się nie zamykały. Rzucal z bramki instrukcje, wymyślał graczom, w ogóle dyrygował całym spotkaniem. Był on też „specjalistą” od dyskusji z sędzią: po każdym orzeczeniu przeciw Ameryce Cosby wyjeżdżał majestatycznie z bramki i klócił się. Raz omal nie usunięto go za to z lodu.

Turniej hokejowy cieszył się w Pradze nienotowaną frek-

wencją. W ciągu dziesięciu dni mistrzostw przewinęło się przez Zimowy Stadion ponad 180 tysięcy widzów. Popyt na bilety był ogromny. Ciekawa rzecz, że na mecze finałowe biletów w kasach nie można było dostać, za to u pokątnych przekupniów na ulicy kupowało się ile dusza zaprażyła. Oczywiście — po odpowiednich cenach. Podobno prezesem „koników“ był... sekretarz sztucznego lodowiska.

Bogatszy od poprzedniego był sezon hokejowy 1938/39. Rozpoczęliśmy go spotkaniem z reprezentacją Śląska, ulegając 2:4. Rozegrany w kilka dni później mecz rewanżowy przyniósł nam wygraną 1:0. W spotkaniu tym błysnęliśmy dobrą formą. Był to dobry znak przed zbliżającym się wyjazdem naszej drużyny do Holandii i Belgii.

Pierwsze międzynarodowe spotkanie rozegrane w Hadze z tamtejszym Ijsclub Houtrust, w którym grało dwóch Kanadyjczyków, zainaugurowaliśmy sukcesem — 1:0. Autorem zwycięskiej bramki, strzelonej w pierwszej tercji, byłem ja. Uzyskałem ją z solowego przeboju. Mecz odbył się na krytym lodowisku, w pięknej obszernej hali, w prawdziwie sportowej atmosferze: przez wszystkie tercje nie zdarzył się ani jeden faul. Nazajutrz rozegraliśmy drugie spotkanie na terenie Holandii. Tym razem naszym przeciwnikiem była drużyna amsterdamska Ijshockey Club. Uzyskaliśmy wynik nierozstrzygnięty 0:0, co należało uważać za sukces; drużyna amsterdamska wzmocniona była czołowymi hokeistami holenderskimi.

Dalszym celem naszego tournée była stolica Belgii. Spotkanie z brukselską drużyną „Etoile du Nord“ kończy się naszą jedyną przegraną podczas tournée, zresztą zupełnie nikłą — 2:3. Strzeliłem obie bramki dla naszych barw. Decydująca bramka dla Belgów padła na skutek nieuwagi naszego bramkarza Maciejki, który w pewnej chwili odwrócił się, by spojrzeć na zegar; właśnie w tym momencie krążek ugrzązł w siatce z dalekiego strzału belgijskiego napastnika.

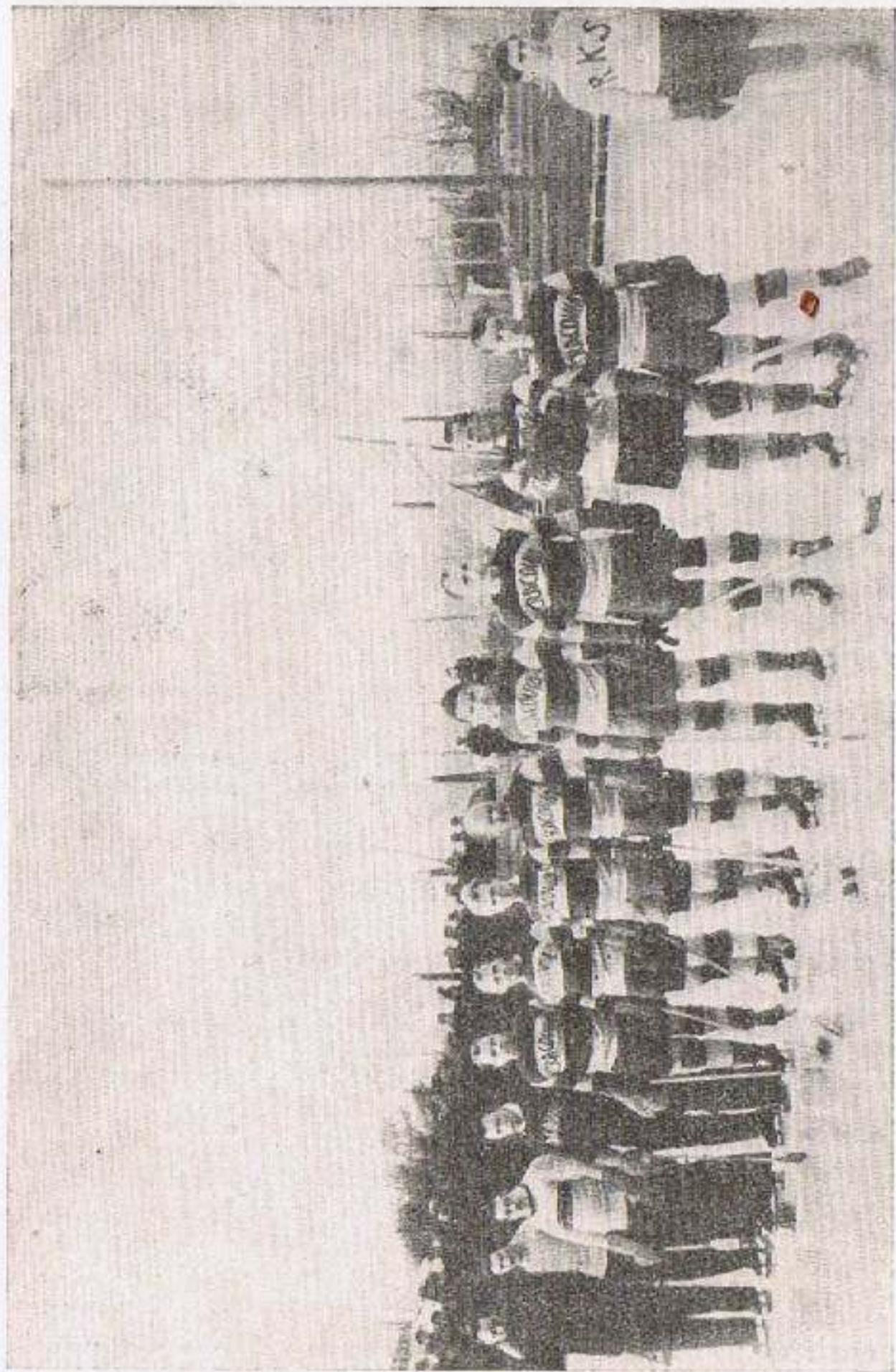
Mecz odbył się na nieprzepisowym lodowisku, długim



„Familijne“ zdjęcie reprezentacyjnej drużyny hokejowej na mistrzostwach świata w Pradze. Zauważyliście berety z biało-czerwonymi pomponami — podarowali nam je gospodarze. Twarzowe, prawda?



Podługich latach przerwy spowodowanej wojną przywdziałem w r. 1945 dres Cra-covii, dla którego miałem tyle sentymentu. Łód stał się znowu moim żywiołem...



W powojennej drużynie Cracovii stanąłem w jednym szeregu z moimi starymi druhami — Kowalskim i Marchewczykiem. W barwach białoczerwonych znaleźli się również tacy weterani hokeja, jak Kasprzycki i Maciejko.



Tutaj widzicie mnie w „cywilu“ sekundującego młodym wychowankom „Gwardii“ w dniu otwarcia Spartakiady ZS „Gwardia“ w lutym 1953 r. na Torkacie.

Fot. CAF

i wąskim, które było przygotowane raczej do rewii lodowych. Belgowie zaskoczyli nas grą na długość, podczas gdy my byliśmy przyzwyczajeni do szerokiego lodowiska i szerokich zagrań. W tym właśnie należało częściowo dopatrzeć się przyczyny naszej porażki. Tournée zakończyło się zwycięskim spotkaniem z reprezentacją Antwerpii — 2:0. Żegnani serdecznie przez Belgów, z dobrą prasą, wracaliśmy do kraju, gdzie czekał nas z kolei Turniej Miast.

Na lodowisku katowickim oprócz Cracovii stanęły doborowe zespoły Berlina, Wiednia i Katowic. Największy sukces odnosimy w spotkaniu z Berlinem. Pewni siebie Niemcy zeszli pokonani 4:1. Łupem bramkowym podzielili się Marchewczyk, Kopczyński, Muszyński i ja. Następnego dnia mecz z Katowicami kończy się wynikiem remisowym 1:1. Spotkanie z reprezentacją Wiednia rozstrzygamy na swoją korzyść wynikiem 2:1. Sukcesy katowickie były dobrą zapowiedzią przed czekającym nas bogatym sezonem hokejowym.

Nowy rok 1939 rozpoczyna Cracovia pomyślnie, zwyciężając najsilniejszego rywala na terenie Krakowa, Sokół — w wysokim stosunku 9:0. Poślizgnęła się nam natomiast noga w półfinałowym spotkaniu o mistrzostwo Polski z Dębem. Występując w osłabionym składzie, bez Kowalskiego i Marchewczyka, ulegamy Ślązakom 0:2. Odrobienie tej porażki w meczu rewanżowym nie udaje się. Wynik remisowy 1:1 wyeliminował Cracovię z dalszych rozgrywek finałowych.

OSTATNIE DNI HOKEJA

Zbliżały się mistrzostwa świata w Bazylei. Generalną próbą sił przed tą wielką batalią hokejową było nasze spotkanie z Kanadą, rozegrane na Torkacie. W barwach polskiej drużyny reprezentacyjnej znalazło się aż pięciu hokeistów Cracovii: Maciejko, Michalik, Kowalski, Marchewczyk i ja. Po pięknej grze polska drużyna uzyskała zaszczytny wynik 0:4. Kanadyjczycy jeszcze raz oczarowali nas błyskotliwością, mądrą improwizacją, przemyślanymi kombinacjami. Największym indywidualistą wśród gości zza oceanu był bezsprzecznie napastnik Morris, nazywany skrzypkiem z powodu układu szyi, którą jak sparaliżowaną trzymał pochyloną przy ramieniu, przypominając grającego skrzypka. Ten świetny hokeista potrafił z małpią wprost zwinnością przeskakiwać przez bandę (gdy go na przykład zablokowano przy bandzie) i biegnąc po zewnętrznej stronie lodowiska prowadził krążek po lodzie. Potem z powrotem przeskakiwał przez bandę i najczęściej nie tracąc krążka, grał dalej.

Mistrzostwa w Bazylei zgromadziły elitę hokejową świata. Drużyna polska wyjechała do Szwajcarii w następującym składzie: Stogowski, Andrzejewski, Burda, Kasprzycycki, Przedpełski, Jarecki, Ursoń, Werner, Kowalski, Marchewczyk i ja.

Nasz debiutowy mecz wypadł w drugim dniu mistrzostw z Holandią i zakończył się wielce przekonującym zwycięstwem barw polskich w stosunku 9:0. Pomogli nam w tym... sami Holendrzy, strzelając sobie dwie bramki samobójcze. Wygraliśmy z Holandią o jedną bramkę więcej niż po-

przedniego dnia Kanadyjczycy. Oczywiście nie upoważniało to do żadnych porównań. Chłopcy z klonowym liściem na piersiach nie wysilali się w tym spotkaniu.

W meczu z Holandią wzbogaciłem swoje konto o dalsze cztery bramki i... zainkasowałem nową kontuzję. Oto w drugiej tercji środkowy napastnik holenderski poczęstował mnie (niechcący zresztą) kijem w brew. Krew zalała mi twarz. Po opatrzeniu rany i ściągnięciu klamrami rozciętej brwi wróciłem na lód. Swój powrót przypieczętowałem dwiema strzelonymi z przeboju bramkami.

Dwa następne spotkania, z Kanadą i Szwajcarią, kończą się naszymi porażkami w identycznym stosunku — 0:4, przy czym w spotkaniu ze Szwajcarią jeszcze siedem minut przed końcem meczu wynik był nierozstrzygnięty — 0:0. Po pierwszej bramce załamaliśmy się, dalsze, strzelone jedna po drugiej, zupełnie nas zdeprymowały. Zaśleliśmy grać defensywnie zamiast ofensywnie — wszak ofensywa jest najlepszą obroną — i to nas zgubiło. Wynik meczu zupełnie nie odpowiadał przebiegowi gry. Byliśmy równorzędną drużyną, a często nawet gnietliśmy Szwajcarów, osłabionych brakiem czołowego hokeisty, Hansa Cattiniego, w pierwszym ataku.

W kolejnym spotkaniu, z Węgrami, zrehabilitowaliśmy się wygraną 5:3, by nazajutrz przegrać z USA w tradycyjnym już dla mistrzostw stosunku 0:4. Niewielką pociechą było powtórne zwycięstwo nad drużyną węgierską — 3:0. Dla mnie osobiście łączy się mecz z Węgrami z jednym szczególnie miłym wspomnieniem. Oto chór widzów okrzyczał mnie największym graczem-gentlemanem turnieju. Nagrodą były wiązanki kwiatów, jakie po spotkaniu otrzymałem z rąk widzów (w spódniczkach).

Najgorzej zagranym meczem polskiej drużyny było spotkanie z Niemcami, którym ulegliśmy w feralnym stosunku 0:4. Nic nam się nie kleiło, akcje rwały się zupełnie. Po pierwszej bramce drużyna polska załamała się, gracze stracili wiarę w możliwość uzyskania dobrego wyniku,

zawiodły nerwy i odporność psychiczna. W szeregi drużyny wkradł się chaos. Ja byłem w tym meczu niedysponowany, podobnie jak Marchewczyk i Kowalski. W efekcie przeciwnicy w ciągu trzech minut podwyższyli wynik na 4:0. Zryw naszych chłopców w trzeciej tercji nie zmienił losów spotkania. W tejże tercji nastąpiło zderzenie napastnika niemieckiego Schenka z Kowalskim. Cios w twarz był tak silny, że wszystkie zęby w górnej szczęce Niemca zostały wybite. Speaker zawodów wzywał przez głośnik dentystę spośród publiczności do okaleczonego zawodnika.

Wracaliśmy do kraju wywożąc szóste miejsce w klasyfikacji światowej, a czwarte w europejskiej. Mistrzostwo świata jeszcze raz przypadło Kanadzie, za którą uplasowała się Ameryka, następnie Szwajcaria.

Osobiście odniosłem niemały sukces: w wyniku ankiety prasowej zostałem wyróżniony tytułem najbardziej fair grającego zawodnika mistrzostw. W nagrodę otrzymałem piękny puchar.

Po zakończeniu mistrzostw świata w Bazylei zaprosiliśmy do Polski reprezentację USA i pod koniec lutego doszło do spotkania międzypaństwowego, które po równorzędnej grze zakończyło się naszą nikłą porażką 0:1.

Rok 1939 przybliżył nas znacznie do poziomu hokeja światowego. W spotkaniach z czołowymi zespołami zagranicznymi ponosiliśmy wprawdzie porażki, jeśli idzie o liczbowe wyniki, ale już nawiązywaliśmy prawie równorzędną walkę. Najwyższe przegrane to z USA (1:5) i Kanadą (0:4), przy czym zwycięstwo nad nami nie przyszło obu drużynom tak łatwo.

Wybuch wojny zahamował rozkwit hokeja polskiego na długie lata. Nastąpił okres niewoli. W roku 1940 przeniosłem się z Krakowa do Warszawy. Przypinałem w tym czasie kilkakrotnie łyżwy, jeżdżąc w Dolinie Szwajcarskiej, jednak wobec niebezpieczeństwa obławy na tym terenie szybko zrezygnowałem z treningu. Na jakiś czas

przeniosłem się do Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych na Placu Trzech Krzyży, gdzie urządzono ślizgawkę, lecz gdy i to miejsce stało się niebezpieczne, „przeprowadziłem się“ na niewielką ślizgawkę (mieszczącą 50 — 80 osób) na kortach tenisowych na Nowym Świecie. Ale pewnego dnia i tam trafili hitlerowcy. W czasie obławy udało mi się uciec przez płot.

WRACAM NA LÓD

Łyżwy przypiąłem ponownie dopiero w roku 1945, stając po raz pierwszy po sześcioletniej przerwie na lodowisku Cracovii. Kiedy stanąłem niepewnie na lodzie, nogi miałem zupełnie jak z waty. Kilkuletni „zastój“ w mięśniach sprawił, iż czułem się nieledwie jak ktoś, kto po raz pierwszy przypiął łyżwy. Pilnym, twardym treningiem przez okrągły rok „ciutałem“ kondycję.

Jeszcze nie przebrzmiały echa wojny, gdy przystąpiliśmy do montowania drużyny hokejowej. Los był względnie łaskawy dla hokeistów Cracovii. Prawie wszyscy przeżyli ciężką okupację. Po paroletniej przerwie, oprócz mnie, przywdziali znowu biało-czerwone koszulki m.in. tacy przedstawiciele starej „gwardii“, jak Maciejko, Michalik, Kapusta, Marchewczyk i Kowalski. Zastrzykiem „młodej krwi“ było powołanie do odradzającej się drużyny przedwojennych juniorów Cracovii: Ostrowskiego, Jucewicza, Tromachowicza i in. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności i dzięki ofiarności Michalika uratowano dwa komplety ekwipunku, jeden reprezentacji Krakowa, drugi Cracovii.

Gdy sklecieliśmy jako tako, na „słowo honoru“ drużynę, pomyśleliśmy o przeciwniku, chcąc sprawdzić naszą klasę. Ponieważ słabe zespoły krajowe nie stanowiły żadnego kryterium w tym względzie, odnowiliśmy kontakt z bratnią Czechosłowacją — „Kanadyjczykami Europy“. Nasi pobratymcy znad Wełtawy chętnie nas do siebie zaprosili i to na kilkanaście dni przed spotkaniem, abyśmy mogli potrenować na sztucznym lodowisku.

Tak więc w pierwszych dniach grudnia 1945 nastąpił na praskim Zimowym Stadionie powojenny międzynarodowy debiut Cracovii. Naszym przeciwnikiem była doskonała drużyna CLTK, w której barwach grały takie asy, jak Konopasek, Zabrodsky, Modry i in. Przegraliśmy 2:11 (0:1, 1:5, 1:5).

Po pierwszej tercji zawiodła u nas kondycja. Po prostu „spuchliśmy“. W drugim spotkaniu ulegliśmy LTC również w dwucyfrowym stosunku — 0:12. Nie były to jednak mecze obliczone na wynik; chodziło po prostu o to, by liźnąć hokeja w dobrym wydaniu. Graliśmy według nowych przepisów, które nam jeszcze nie „leżały“; spotkania z Czechosłowakami mającymi znacznie większą praktykę dały nam jednak dużo korzyści.

Przepisy gry w hokeja na lodzie zmieniły się w tym czasie parokrotnie w kierunku przyśpieszenia i udynamicznienia gry. Przede wszystkim uległ modyfikacji przepis o spalonym, paraliżujący w znacznym stopniu akcję.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Cieszynie, gdzie wygraliśmy dwa mecze z miejscowym Piastem — 4:1 i 3:1.

Lata 1946—47 to okres podnoszenia się poziomu drużyny hokejowej Cracovii. Zdobywamy dwukrotnie mistrzostwo Polski. W roku 1947 zdecydował o tytule mistrzowskim pełen dramatycznych momentów mecz finałowy z krakowską Wisłą, zakończony naszą wygraną — 4:3. Strzelcem trzech bramek dla Wisły był młody utalentowany hokeista z przedwojennych juniorów lwowskiej Pogoni — Palus.

W sezonie 1946/47 gościmy w Krakowie praską drużynę HC Stadion — pierwsza powojenna jaskółka zagranicznego hokeja w Polsce. Rozegrane dwa mecze wykazały znaczną poprawę klasy Cracovii. Wprawdzie przegraliśmy 0:3 i 0:4, ale byliśmy prawie równorzędnym przeciwnikiem. Nieco później rewizytuje nas drużyna LTC z Pragi. Dwa mecze rozegrane z Czechosłowakami przypadają na

okres poważnego kryzysu Cracovii. Nasi pobratymcy zadają nam astronomiczne klęski — 11:3 i 16:1.

Pierwszą większą międzynarodową imprezą hokejową po wojnie były mistrzostwa świata w Pradze w 1947 r. Na tafli praskiego Zimowego Stadionu powiało młodością. Drużyny składały się z bardzo młodych hokeistów, my stanowiliśmy jeden z najbardziej leciwych zespołów. Hokej zamorski był reprezentowany jedynie przez USA. Wbrew oczekiwaniom wypadliśmy w Pradze bardzo dobrze. Szczególnie zabłysnęliśmy w meczu z USA, prowadząc nawet 2:0. Po wyrównanej grze przegraliśmy 2:3. Również nikłą porażką (3:4) zakończyło się spotkanie ze Szwecją — potęgą hokejową Europy. Doskonałe wyniki z tak renomowanymi drużynami zawdzięczaliśmy rutynie, mądrej taktyce, a nade wszystko ambicji. Nie dopisała natomiast kondycja. Na lodowisku praskim przyjmowano nas z aplauzem; polski hokej wyrobił sobie w Europie dobrą markę.

Następne sezony hokejowe były ubogie. Złożyły się na to kapryśne zimy, brak sztucznego lodowiska oraz kontaktów międzynarodowych. Ten żaloszny zastój w polskim hokeju przerwał wyjazd reprezentacji Polski do ZSRR (w końcu lutego 1949 r.). Wyjazd ten był jakby przebudzeniem się z letargu. Wywołał on wśród naszych hokeistów ogromne zainteresowanie. Byliśmy ciekawi poziomu radzieckiego hokeja, o którym właściwie nic nie wiedzieliśmy. Ogólnie utrzymywano, że dyscyplina ta nie należy w ZSRR do najmocniejszych. Trzeba nadmienić, że hokej kanadyjski został u naszych sąsiadów wprowadzony dopiero w roku 1946. Przedtem uprawiano tam hokej rosyjski (tzw. „bandy“ — modny zresztą jeszcze dzisiaj), polegający na tym, że mecze rozgrywa się na lodowisku o wymiarach boiska piłkarskiego, przy czym drużyna składa się z jedenastu zawodników. Zamiast krążka używa się piłeczki podobnej do tej, jaką rozgrywa się mecze w hokeju na trawie.

Przywitanie w Moskwie było bardzo serdeczne. Na dworcu zjawili się tłumnie hokeiści radzieccy ze świetnym

piłkarzem i hokeistą Bobrowem na czele. Pierwsze dni upłynęły pod znakiem treningu. Potem rozegraliśmy kilka spotkań sparringowych przy „drzwiach zamkniętych” — bez publiczności. Naszymi przeciwnikami były czołowe drużyny hokejowe: Skrzydła Sowietów, CDKA, Dynamo. Oficjalne spotkania Warszawa — Moskwa i Polska — ZSRR wyznaczono na pierwsze dni marca. Grałem tylko w pierwszym. I to nie do końca. Na skutek odniesionej kontuzji resztę pobytu w Moskwie spędziłem w szpitalu. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Mecz z reprezentacją Moskwy rozgrywaliśmy przy 18-stopniowym mrozie na Stadionie Dynamo wobec rekordowej dla hokeja liczby widzów: 40.000. Drużyna radziecka narzuciła z miejsca szalone tempo (rzadko spotykane na początku zawodów) i odmienny styl od tego, z jakim spotykaliśmy się u drużyn zachodnio-europejskich. Zastosowali zespołową grę, charakteryzującą się zaskakującymi zwrotami sytuacyjnymi, dużą różnorodnością; każdy zawodnik miał doprowadzony do perfekcji zwód ciała i drybling. Inną świetną cechą hokeistów radzieckich było błyskawiczne i niespodziewane ustawianie się na pozycjach wolnych do strzału. Grali przy tym spokojnie i czysto. Imponowali kondycją. Słabiej może przedstawiały się niektóre elementy techniczne. Ale nie umniejszało to w niczym faktu, o którym mogliśmy się naocznie przekonać: był to bezsprzecznie hokej w najprzedniejszym wydaniu.

Graliśmy początkowo bardzo chaotycznie, nie mogąc wejść w uderzenie. Gospodarze zasypywali naszą bramkę gradem strzałów. Bohaterem zawodów stał się Maciejko. Publiczność z uznaniem skandowała jego nazwisko. W trzeciej tercji Moskwa prowadziła 4:1. Dopiero przy tym stanie drużyna nasza skonsolidowała się i zaczęła przechodzić do kontrnatarcia. Palus strzelił drugą bramkę. Inicjowaliśmy teraz częste ataki.

Kiedy w pewnej chwili wystartowałem po „bulli“ do krążka, Bobrow całkiem przypadkowo podciął mi nogi,

a ja będąc w pełnym „gazie“ wylądowałem głową na bandzie. Zemdlałem. Przytomność odzyskałem dopiero w hotelu. Dostałem szalonych bólów głowy i torsji. Przewieziono mnie do szpitala. Pęknięcie czaszki. Siła uderzenia głową o bandę musiała być znaczna. Otoczono mnie serdeczną i troskliwą opieką.

Nasza reprezentacja po rozegraniu dalszych spotkań (wszystkie przegraliśmy) opuściła ZSRR.

Po dwudziestodniowym pobycie w szpitalu wróciłem zupełnie do zdrowia. Mili gospodarze, chcąc mi urozmaicić czas dzielący od wyjazdu, zatroszczyli się o bogaty program imprez. Teatr, balet, kino, wycieczki, zawody sportowe — oto, co wypełniało ostatnie dni mego pobytu w Moskwie.

W listopadzie 1949 r. ukończyłem kurs dla instruktorów hokeja na lodzie z bardzo dobrym wynikiem, po czym od stycznia 1950 r. zostałem zaangażowany jako instruktor AZS Warszawa. Pragnąłem całe swoje doświadczenie poświęcić wychowaniu młodego narybku. Przyszło mi to tym łatwiej, że wśród akademików spotkałem się z wielkim umiłowaniem hokeja. Występowałem w tym czasie w barwach krakowskiego Ogniw (dawnej Cracovii, obecnie znowu Cracovii) w rozgrywkach o mistrzostwo Polski (zajęliśmy trzecie miejsce) oraz pokazowo w AZS. W r. 1951 podjąłem pracę trenera w Gwardii krakowskiej i zakopiańskiej.

W 1952 r. zostałem członkiem Rady Trenerów. W związku ze zbliżającą się olimpiadą powołano mnie na trenera kadry narodowej wraz z Kasprzyckim i Zarzyckim. Wreszcie moja ostatnia „posada“, to praca trenerska w Spójni Nowy Targ (później Sparta), podjęta w r. 1953.

Do roku 1955 trenowałem nowotarską Spartę, z której już dwóch zawodników zostało powołanych do kadry narodowej. Są to Bryniarski i Chmura. Jednocześnie nie rezygnowałem z czynnego hokeja. Grając na pozycji obrońcy w barwach Sparty przyczyniłem się w r. 1954 niewątpli-

wie do uratowania nowotarskiego zespołu od spadku z ligi w decydującym spotkaniu z Włókniarzem, strzelając w momencie największego załamania drużyny bramkę, która przełamała kryzys i zdecydowała o naszym zwycięstwie.

Klub ma na swoim koncie również sukcesy międzynarodowe. W r. 1954 odnieśliśmy w Zakopanem zwycięstwo nad czechosłowacką drużyną Slovak Tatry ze Starego Smokowca w niecodziennym stosunku 13:12. Spotkanie rewanżowe z CSR zakończyło się naszą wygraną 7:5.

*

* * *

Moja praca trenerska daje mi dużą satysfakcję, tym większą, że widzę utalentowanych zapaleńców, dla których hokej jest niemal wszystkim. Mam nadzieję, że w najbliższych latach Nowy Targ stanie się kuźnią talentów i że niejeden zawodnik nowotarski zasili kadrę narodową.

Swoją drogą świetne możliwości rozwoju mają dzisiaj młodzi hokeiści. O ileż trudniejsza była moja droga po laury na tafli lodowej. Brak zorganizowanych obozów kondycyjnych i — w początkowych latach kariery sportowej — trenera, nie zawsze dostępny sprzęt — utrudniały osiąganie wyników.

A jednak mimo niewątpliwie mniej sprzyjających warunków, w jakich zawodnicy musieli dawniej pracować i rozwijać się, polski hokej odnosił bez porównania większe sukcesy niż obecnie. Jak to się więc dzieje, że teraz, mając rzeczywiście doskonałe warunki, hokeiści nie mogą się poszczycić godnymi uwagi sukcesami?

Nie zamierzam wdawać się w jakąś szczegółową analizę zagadnienia. Ograniczę się do kilku ogólnych uwag, które stanowią mój osobisty pogląd. Prawdą jest, że hokeiści, podobnie jak sportowcy innych dyscyplin, korzystają obecnie z wszechstronnej pomocy. Studia teoretyczne, obozy kondycyjne, sprzęt, nieledwie ojcowska opieka klubów — wszystko to stwarza rzeczywiście dobre warunki do pracy.

Mówiąc innymi słowy: sportowcom „dobrze się powodzi“. I właśnie owe świetne możliwości mogą — przy niewłaściwej pracy trenerów — ze sportowców słabego ducha i charakteru uczynić primadonny. Rozpieszczeni koniunkturą obniżają loty, osiadają na laurach.

W latach mojego rozkwitu zawodniczego, jak już wspominałem, było inaczej. Dawniej zawodnik chcąc zdobyć sprzęt, zasłużyć sobie na trenera, o którego było naprawdę trudno, czy też na przywilej reprezentowania klubu — musiał się wykazać wynikami, bo tylko wybijające się jednostki mogły liczyć na pomoc. Do sukcesów dochodziło się przez trudną, pełną oddania, pilną pracę nad sobą. Ale te trudniejsze warunki hartowały sportowców, zobowiązywały do osiągania możliwie najwyższych wyników.

Istotną przyczyną słabości polskiego hokeja powojennego była wieloletnia przerwa spowodowana okupacją hitlerowską. Przez sześć lat nie trzymaliśmy kija w ręku. Nie było mowy o uprawianiu jakiegokolwiek sportu. Nie było mowy o szkoleniu narybku. W tym czasie Szwedzi czy Szwajcarzy mogli się swobodnie rozwijać. A przecież w ciągu tych kilku lat hokej wzbogacił się o nowe elementy techniczne, nową treść taktyczną. Arkana unowocześnionego hokeja zaczęliśmy sobie przyswajać dopiero w latach powojennych, kiedy inni poszli daleko naprzód.

Mówiłem o doskonałych warunkach, z jakich korzystają dzisiaj zawodnicy i młodzież sportowa. Ale doskonałe warunki to jeszcze nie wszystko. Wyniki zależą będą w dużym stopniu od samej młodzieży. Od jej pilności, silnej woli, dyscypliny wewnętrznej. Te walory muszą oczywiście iść w parze z kondycją (hokej jest dyscypliną wymagającą racjonalnego treningu, prowadzonego okrągły rok, a nie podejmowanego kilka miesięcy przed sezonem) i umiejętnościami technicznymi. Dopiero zespół tych cech i elementów da pełnowartościowych hokeistów, którzy nawiązując do chlubnych tradycji polskiego hokeja przysporzą nam nowej sławy na lodowiskach międzynarodowych.

SPIS TREŚCI

Wybrałem hokej	3
Mój debiut międzynarodowy	11
Pudłuję przed Kanadyjczykiem	21
„Trzech muszkieterów“	28
W kraju Wilhelma Tella	37
„Krwawy mecz“ w Garmisch	45
Gdy hokej zamienia się w boks	53
180 tysięcy widzów na stadionie	61
Ostatnie dni hokeja	66
Wracam na łód	70

Cena zł 3,60

R
W
G

REPORTAŻE

SPOMNIENIA

POWIADANIA